

RIGOLETTO

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁĄŻEWSKI

ROK WYDAWNICTWA TRZECI · TOM I

TERESA UBERTIS GREY (TERESAH)



RIGOLETTO

Z włoskiego przełożyła
JULJA DICKSTEINÓWNA

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WARSZAWA



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268127

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JAN POHOSKI
ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE, WOLSKA
L. 19

K-114/76/65121 ϕ

I

— Sciosciammò! — wołał przerażony człowieczek, czując, że postronek w palcach kołysze mu się luźno — Sciosciammò mój Sciosciammò! — powtarzał, podnosząc stopniowo głos aż do żałośliwych pokrzyków, których ostatnie obito się przeciągle o sklepienia Galerji.

Ponad rozgwarem cizby zagórował ten niesłuchany przez nikogo krzyk, gdzie walczyły jeszcze zdziwienie i niewiara. Ale wezbrane morze ludzkie, na którym zdawał się unosić człowieczek, prawie że nie dostając stopami ziemi, płynęło dalej spokojnie i nie pozwalało mu ani zawrócić, ani tem bardziej pruć fali w kierunku przeciwnym. Przez chwilę szamotał się rozpacznie, starał przepchnąć łokciami, wyswobodzić przemocą. Musiał ustąpić: bierna siła masy wzięła go, ściskając niby żelazną obręczą.

— Och! Och! — zawołał nikłym głosem nieszcześnie, poddając się prądowi, który parł go wraz z innymi w stronę ulicy Toledo. Przeświadczony już był teraz o nicości wszelkich usiłowań.

— Och, och, mój Sciosciammò!....

Jednostajne narzekania zaczęły przyciągać uwagę sąsiadów, choć ani krzyki, ani towarzysząca im szarpanina nie zmieszala ich była ani na chwilę.

Zapałkarz, który także dał się wygodnie nieść fali ludzkiej i, skrzyżowawszy ręce na pudle dla zabezpieczenia towaru, pozwalał się przerzucać z

miejsca na miejsce, pierwszy zainteresował się wypadkiem.

— A kogożecie to zgubili? żonę może?

Człowieczek potrząsnął melancholijnie głową i zaczął długą, gęsto westchnieniami przeplataną opowieść, z której zapalczarz dowiedział się, iż Sciosciammocca, mieszaniec jamnika z chartem, jedyne w swoim rodzaju stworzenie mądre, przywiązane, pełne rzadkich talentów, z popielatą łatką na piersi i tyłoma, tyłoma innymi zaletami, że Sciosciammocca, który uwiązany był postronkiem do obroży i którego pan jego aż do połowy Galerji czuł koło siebie, teraz od dwóch minut, niestety, gdzieś się zaprzepaścił.

Przekupień był wzruszony. Poprobował sam oświadczyć pociągnąć za prymitywną smyczę, która zaplątała się między ludzi i stwierdził, że opiera się w sposób niedopuszczający wątpliwości, iż Sciosciammocca jest jeszcze uwiązany. Jęczący człowieczek, pokrzepiony życzliwą uwagą zapalczarza, zaczął powoli wywikływać postronek, owijając go dookoła palców. Nawinawszy część, obydwaj mieli jeszcze sporo nadziei, po chwili wszelako zachybotał im się wśród natłoku urwany koniec, na którego widok nieszczęsny właściciel Sciosciammocchi uderzył znowu w swoje niepocieszone och, och!

Awantura, rozgłoszona przez wymownego zapalczarza, zrobiła wrażenie na otoczeniu; krąg słuchaczy rozszerzał się i jakaś litościwa dusza zaryzykowała nawet nieśmiało poszukiwanie, próbując schylić się, co w danych okolicznościach było przedsięwzięciem niezupełnie bezpiecznym. Fakt, że zgubą był pies, a nie przyjaciel, nie żona, słowem, nie istota zdolna odnaleźć drogę, wzruszył szczególnie serce poczciwego, świętującego ludu, a nieszczęście nieznanego przykuło tak samo uwagę jak krótkowilne maski, które przebiegały Galerję, przepychając się za pomocą palek lub wykoślawionych parasolek, jak męż-

czyźni w przebraniach kobiecych, pajace, dziewczyny uliczne, jak cała ta pstrokaczna kolorowych łachmanów. djabelny szum i opętane trąbienie wśród krzyżujących się dowcipów i gradu pustych torebek.

Już historia tej niezwyklej bestyjki o popielatej łacie na piersiach i tyłu, tyłu zaletach, ilu jeszcze nie widziano u żadnego innego psa, zaczęła krążyć wśród tłumów, bogaciła się nowymi szczegółami, nabierała rozmiarów zdumiewających. I kiedy przez wtargnięcie nowej grupy masek: dwudziestu czarnych djabłów, miotających pełnymi garściami bibułkowe węże, tłum gwałtownie naciśnięty u ujścia Galerji musiał ustąpić, skupiając się przed caffè Fortunio,—dokoła nieszczęsnego stała już zbita gromadka przyjaciół.

Chwilowa przeszkoda okazała się opatrnościową dla nawiązania niespodziewanych węzłów. Ktoś zażądał bliższych wyjaśnień, inni ofiarowywali się z pomocą; nikogo nie uderzył jeszcze dziwny szczegół, że nierozsądny właściciel przyprowadził Sciosciammocchę na postronku w podobne zbiegowisko.

Z miejsca rozpoczęto poszukiwania. Grupa, zorganizowana przez usłużnego zapalczarza, rzuciła się odważnie w huragan maskaradowy, przebiła wśród tekturowych nosów, wśród warjackich świstów i deszczu „confetti“ i wydobyla na otwartą przestrzeń ulicy Toledo z wielkim westchnieniem ulgi. Policzyli się; było ich pięcioro: człowieczek, zapalczarz, handlarz różków koralowych, skutecznym przeciw czarom, jakaś kobieta o litościwym spojrzeniu i włóczęga, a za nimi orszak obdartych i przedsiębiorczych łobuzów.

— Teraz, kiedy jesteśmy przyjaciółmi, możemy powiedzieć sobie, jak się nazywamy — zauważył naczelnik-zapalczarz i wytoczył natychmiast nazwisko, adres i przydomek.

Człowieczek widocznie się zmieszał. Po chwili rzekł swoim zabawnym głosem:

— Mnie nazywają Rafaelem,

— Z przewiskiem...

Rafał puścił zapytanie mimo uszu, ku zdziwieniu zapalarkarza, typowego dziecka Neapolu — gdzie przecie nikt nie może istnieć bez przydomku — i znowu zaczął postękiwać swoje zwykłe: Sciosciammocca, mój Sciosciammocca.

Tymczasem kobieta usprawiedliwiała się ze swego przystąpienia do grupy, opowiadając że i ona ma w domu dwa psy i trzy koty, ale nie wyprowadza ich do Galerji w ostatnią noc karnawałową. Ukryta uwaga ubodła Rafała do żywego.

— Słusznie, bo co też wam strzeliło do głowy? — zapytał zapalarkarz z jawną już naganą. — Biedny Rafał targnął pęk rzadkich, nieokreślonej barwy włosów nad czołem, łącząc sam siebie od najostatniejszych, wreszcie skończył oznajmieniem, że co bądź się stało w dzisiejszą noc zapustną, musiało być niezawodnie dziełem złych sił. W mgnieniu oka ofiarowano mu rożek koralowy, który przyjął, aby pokonać moc złego, poczem mały oddział ruszył przez ulicę Toledo w stronę placu św. Ferdynanda, gdzie musiał schronić się pies, odepchnięty od środka Galerji.

Po drodze natknęli się na nowe maski. Orszak łobuzów, ucieszony perspektywą niezwykłych przygód nocnych, dreptał wesoło, pogwizdując modną piosenkę i podchwytyjąc w locie *confetti*, które rzuciło jakieś chętelne domino. Przy placu Plebiscytu tym zrzędniał, przestronne okole leżało puste, całe białe od księżycy, obramowane Wysokimi pałacami z amfiteatralną świątynią, kędy w mroku arkad żebracy i psy zbłąkane bratali się we śnie. Sciosciammocca, nieświadomy miejsc, nie mógł szukać przytułku w tej sypialni opuszczonych nędzarzy. Gromadka skręciła w lewo, przepatrzyła podsien teatr San Carlo i puściła się wzdłuż ogrodu królewskiego aż do Placu Ratuszowego, gdzie fałszywy alarm przyprawił Rafała o radość, natychmiast stłumioną.

Cicillo. odważniejszy od innych andrusów, wygrzebał skądś bezdomnego kundla, tarzającego się na stosie odpadków. Pies poszedł posłusznie za nowymi panami, węsząc w kierunku wąskiego zaułku.

— Poczut go — zawyrokował zapalarkarz, dumny ze swego strategicznego pomysłu. W tej chwili, zamiast Sciosciammocchi, z jakiegoś ciemnego kąta wyskoczył drugi pies-przybłęda i dobrowolnie przyłączył się do naszych znajomych, idąc za towarzyszem.

Pozostało jeszcze tylko do przepatrzenia ujście ulicy Świętej Brygidy i już nadzieja poczęła chwiać się w sercach, kiedy na nikłe wezwanie Rafała, przedmiot tyłu poszukiwań wypadł ze szczeblem ze schodów Galerji i rzucił się między nogi panu. Ogólny wybuch radości, skowyt Sciosciammocchi, a zwłaszcza koziółki urwisów przyciągnęły w tym ożywionym niezmiernie punkcie miasta zwykłe koło ciekawych. Komentowano wydarzenie, zapalarkarz wynosił w głos własne zasługi, a włóczęga zaczynał właśnie przemowę, proponując, aby Rafał wystąpił z poczęstunkiem, gdy nagle donośny głos jakiś ściał zapał we wszystkich sercach i wstrzymał w połowie podwójnego koziółka, jakiego właśnie wywijał Cicillo.

Wysoka postać stójkowego wynurzyła się wśród osłupiałej gromadki, która, miast się rozproszyć, zbiła się dookoła Rafała, mocnego w swej niewinności i popartego przez ciekawych.

Zapalarkarz w mig zbadał położenie. O jedenastej w nocy, u wejścia do Galerji, w ostatni wtorek nie było prawdopodobnem, aby ich miano posądzać o nocne burdy. Ale nie trudno o pierwszy lepszy pretekst, gdy idzie o przychwycenie gentleman'a.

Były trzy psy, z tych jeden jeszcze na smyczy i Sciosciammocca, który wyskakiwał radośnie u stóp Rafała, zdradzając go w taki sposób wyraźnie przed mścicielem naruszonego porządku.

W rzeczy samej stójkowy, który nadbiegł w przy-

puszczeniu jakiejś grubej awantury, ku wielkiemu rozczarowaniu nie znalazł ani napadu, ani bijatyki, ani nawet zwykłej sprzeczki; nie chcąc wszelako dać bezwzględnie za wygraną, uchwycił się jedyne go środka i, ściągawszy brwi, zapytał tonem niezbitym:

— Do kogo należy ten pies?

— Za przeproszeniem — poważył się wmieszać zapalnik.

— Milczeć—huknął tamten i zwrócił się ku pobludnemu człowieczkowi.

— Wasze nazwisko?

— Ale—zaczął Rafael, któremu zachowanie się tłumu dodawało odwagi w oporze, cały bowiem opowiadał się po jego stronie.

— Niema żadnego *ale*. Bunt przeciw zwierzchności, hałas, wykroczenie. Urząd... naprzód i marsz! — Te straszne słowa poraziły uszy struchlałego Rafaela poprzez rozgłos gniewnego narzecza genueńskiego. Pochwycony brutalnie za ramię, ruszył nieborak, chwiejąc się, w asyście trzech psów i zaciekawionego motłochu.

Człowiek, który tak śmiało stawiał czoło opinii publicznej, zawsze i wszędzie, ale zwłaszcza tu, w Neapolu, wrogiej władzom miejskim, szedł teraz pewny siebie, ściskając w żelaznych palcach chude ramię Rafaela, świadom powagi swego posłannictwa i wielce zadowolony ze swojego nieomylnego „węchu”. Być może, nawet sam nie wiedząc o tem, oddaje właśnie krajowi ważną przysługę, kładzie rękę na jakimś zuchwiałym złoczyńcy, herszcie tajemniczej bandy...

— A może anarchista—o Boże!—świeżutko przybyły z Ameryki!—W ambitnych rojeniach docierał już pocziwiec aż do upragnionego szczytu gratyfikacji, kto wie?, odznaczenia, przyznanego w nagrodę za gorliwość, — kiedy niezadowolony wzrtek, jakim go obrzucił bezpośredni zwierzchnik u wejścia do urzędu

policyjnego w magistracie, przywrócił go do przytomności.

— Oh, co to najlepszego zrobiliśmy? Znowu to samo? Trzy psy mi sprowadzacie do więzienia. Czy skradły pomnik Zwycięstwa? A z ulicy Świętej Brygidy donoszą właśnie o napaści. Pajac wytargał uszy jakiejś pani. Tameście nie byli, he? Policji — mówią — niema nigdy, gdzie potrzebna. Podamy skargę, poczekajcie.

Straszne obwinienie z gradem epitetów neapolitańskich runęło na głowę nieszczęsnego. Zwierzchnik patrzył nań z drwiącym wyrazem, który mówił jasno: genueński głupiec.

Stójkowy puścił przyprowadzonego przestępcę i patrzył przed siebie jak zbity. Włóczęga, handlarz rożków i litościwa baba znikli, andrusów ani śladu. Tylko gadatliwy zapalnik i dwa psy, solidarne z Siościammocą, dotrzymali placu. Ofuknięty mięł właśnie otworzyć usta i wyjaśnić zdarzenie, gotów nawet obciążyć je podejrzanemi szczegółami, kiedy wesoły głos zwierzchnika pograżył go jeszcze bardziej w poniżenie:

— O, kum Rafael! Kogoż to widzę? Czy wasz pies? Ładny, zupełnie ładny.

Wiedzione instynktem zwierzątko wspięło się na tylne łapki i przymilało do nieoczekiwanego protektora, wymachując ogonem i liżąc mu ręce dla wyrażenia swojej psiej wdzięczności.

— O, Pascali — odezwał się jak echo człowieczek i patrzył się na niego z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom.

Don Pasquale, wzruszony radością Sciosciammocchi i pewnemi dalekimi wspomnieniami młodości, zapragnął odrazu podkreślić wartość starych węzłów przyjaźni; może przytem nie była mu niemiłą sposobność roztoczenia całego uroku władzy, jaką mu nadawało stanowisko. Imperatorskim gestem

wskazał drzwi zmiądzonemu stójkowemu, który od progu zdążył jeszcze przychwycić w pierwszych wylewach przyjacielskiej poufalości drwiące politowanie, wycytane już przed chwilą w oczach zwierzchnika: Genuński głupiec.

Człowieczek nie ochłonął jeszcze ze zdumienia, kiedy zaparkarz, pusząc się, wykazywał już przed życzliwym dostojnikiem ważną swoją rolę, opowiadając piątę przez dziesiątę całe zajście, zabarwione epizodami, podszeptami mu przez bujną wyobraźnię, wyrażał się lekceważąco o policjancie, uszczęśliwiony bezkarnością, jaką mu zapewniały wysokie stosunki Rafaela i baczny, aby wobec małoduszności innych, podkreślić własną życzliwość w sprawie niewinnie prześladowanego.

Don Pasquale gładził marsowo podkreśnionego wąsa, życzliwie potakiwał głową, ukazując się oczom Rafaela w chwalebnej roli człowieka, który acz sam ma szczęście, jednak nie gardzi przyjaciółmi z ciężkich dni życia.

Oceniwszy, że kontemplacja trwa już dość długo, i że serce starowiny musiało się po brzegi wypełnić podziwem, w don Pasqualu, który był w gruncie poczciwym człowiekiem, ozwał się dawny wisus: złożył rolę urzędową i zasypał Rafaela pytaniami: Co słyhać w miasteczku? On, don Pasquale, nie zajrzał już do Torre del Greco, odkąd powołano go do wojska, ale nie zapomniał nikogo, ani gospodarza, ani donny Rusi, ani Concettelli, ani nawet łódki, na której przez trzy lata łowił ryby.

— Ilu nas wzięto, he, kumie Rafaelu? A on czy jeszcze pamięta?—I Pasqualino opowiedział swoje dzieje.

Co krajów się naoglądał! Co historii przeżył! Prawie cały czas przebywał blisko granicy francuskiej; wielki, wspaniały świat ta północ, o ileż wyżej od nas stoil

Don Pasquale prostował się, nadymał policzki, jakgdyby też pełne były owego postępu, który tak wychwalał, a obaj słuchacze patrzyli nań, pełni pozazanowania.

Jakto? rok już, jak wrócił do Neapolu i jak uzyskał to wysokie stanowisko, a nigdy nie znalazł chwili czasu, by wpaść do Torre del Greco do przyjaciół? — pytał zaparkarz, dzielnie wywiązując się z roli znajomego od paru minut.

— Zajrzę, zajrzę — upewniał Pasquale, podkreślając najeżone wąsy.

Rafael milczał dalej, oszołomiony niespodzianką i upadający ze znużenia; w oczach migotały mu nagłe błyski wspomnień, ale chuderlawe ciało kulilo się coraz bardziej, a głowa wciskała w pochylone ramiona razem z nędzną koroną rzadkich swoich włosów.

Dopiero gdy jowialny towarzysz grzmotnął w stół tęgim kulakiem wstrząsnął się i odezwał cicho z rodzajem bolesnego zawstydzenia w głosie:

— Łódka już nie istnieje. Ani Rusinella. Nie jestem już rybakiem.—I zdawało się, że w tych krótkich słowach zawarł dzieje całego swego życia, bo zamilkł, jakby nie było nic więcej do dorzucenia.

Umarła? Donna Rusi, kochana gospodyni, która tak lubiła jego, Pasqualina?

Nie mógł się z tem pogodzić jowialny jegomość; na szczęście—bo nie leżało w jego naturze pozostawać długo z twarzą zasmuconą—wpadli do zadymionego pokoju dwaj koledzy z urzędu i stary pisarz z mefistofelesowską bródką:

— A, dobry wieczór, Rigoletto — zawołał jeden z nich — podniecony zbytniemi libacjami, klepiąc poufale Rafaela dłonią po ramieniu.

Niefortunna figurka, która nie znała swego rozmówcy i której imię Rigoletta nic nie powiedziało, skłoniła się onieśmielona. Inni wybuchnęli hałaśliwym śmiechem. Właśnie w tych dniach wystawiono w tea-

trze ludowym operę verdiowską i dziś nawet łobuzy wygwizdywali po ulicach najbardziej popularne melodie.

— Czy się znacie? — zapytał Pasquale. A otrzy-
mawszy odpowiedź odmowną, przedstawił:

— To jest kum Rafael, mój gospodarz z czasów,
kiedy byłem rybakiem, a tamto jego przyjaciel.

Zapałkarz natychmiast wdał się w rozmowę, po-
licjant, wierny Bachusowi, uczuł potrzebę odwilżenia
sobie nieco gardła, butelki i kieliszki pojawiły się na
potłuszczonej stole, obok stosu papierów pisarza.

— Za zdrowie Rigoletta! — dumny wynalazca
powracał do swego pomysłu. — Wszystkie oczy zwróci-
ły się ku kwadratowym ramionom starca, w których
głowa osadzona była głęboko i prawie nie oddzielona
szyją, co nawet bez przeciwstawienia do reszty figury
sprawiło wrażenie ułomności, jaką mu przypisywał
pijak. Don Pasquale, wrowadzony w dobry humor
przez winko z Wezuwjusza, zaczął obmacywać gościa,
jakby doszukując się naprawdę narośli.

— Gdzieście to podzieli garb, he, kumie Rafaelu?

Ofiara uśmiechnęła się pokornie i zażądała ob-
jaśnień. Dostarczono ich natychmiast. Rigoletto był
garbusem, błaznem, płacono mu za to, że śmieszył
ludzi.

Cierpienie, jakie odmalowało się niespodzianie
na wynędzniałej twarzy starca, było tak przejmujące,
że dostzegli je prawie wszyscy poprzez mgłę pijańskiego.

Mniemali, że urazili go w bolesnym poczuciu
własnej niedoskonałości fizycznej, a że nie byli źli,
więc obrócili rzecz w żart.

— Jesteście mniej zgarbieni od nas, kumie Ra-
faelu. Żyjcie nam sto lat! A ile też sobie lat
liczycie?

Zmienili rozmowę. Policjant wszakże z uporem
właściwym pijanym, zaczął na nowo:

— Aaaa, dobry wieczór Rigoletto! — I dodał:
— A jaką Rigoletto miał śliczną córkę!!

— I ja także mam śliczną córkę — odezwał się
biedaczysko, iakby pod dotknięciem iskry elektrycznej.

— Concettella? — zapytał z nagłą ciekawością
Pasquale. — Musi już być dziś na wydaniu. Śliczna,
czy tak? Ho, ho, miała ci już ona oczy od maleńkości...

— Ciemna? jasna? — spytał ktoś drugi.

Ojciec z rozpromienionym wzrokiem ją opisał.
Była biała, bielutka z włosami czarnymi jak wino-
grona wezuwiańskie. Nazywano ją lilją z Torre del
Greco.

— Wiecie co? — odezwał się pisarz w zapędzie
dowcipów — piękna córka Rigoletta zaślubiła ni mniej
ni więcej tylko księcia!

— Jakto, czy prawdę mówicie? — I człowie-
czyna wytrzeszczył wielkie, osłupiałe oczy.

— Co za księcia! To o włos, że nie król —
sprostował gorąco Pasquale.

Oslupienia Rafaela wzrosło! Nie śmiać żądać
dalszych informacji, wpadł w milczącą zadumę z głową
spuszczoną na piersi. Inni zapijali wesoło, pijak pod-
śpiewywał znowu niepewnym głosem:

— A, dobry wieczór Rigoletto!

Rafael podniósł głowę i spojrzał z ukosa: czy
drwili sobie z niego? Nie, Pasquale był dobry chłop-
pak, zapałkarz okazał się przyjacielem, a stary pan
czarno ubrany miał wygląd zbyt dostojny. Ośmielił
się zapytać:

— Czy naprawdę ten, o którym mówicie, był
błaznem?

Słowo honoru — zapewnił Pasquale — był...
jakby to powiedziano w naszych czasach pazzariello*).

— Ah — szepnął stary, zadziwiony wieścią i już
miał zdradzić innym tę nową szczególną zbieżność,

*) linoskoczek, akrobata, pajac.

pohamował się jednak, zawstydzony i uśmiechnął sam do siebie na myśl, która mu mignęła; potem zwątpił na nowo i potrząsnął głową, jakgdyby chciał utwierdzić się w przekonaniu. Pisarzowi, który go obserwował, błysnęły małe chytne oczki z za szkieł.

W parę minut później pijak zasypiał z głową na stole, mruczając imię, które tak uderzyło jego wyobraźnię, a zapałkarz zmiarkował z żalem, że nie wypada już dłużej przetrzymywac świetnego towarzystwa.

Podniósł się, co posłusznie za nim uczynił Rafael, pożegnał się zapewniając na tysiąc sposobów o swoim głębokim oddaniu, i jakoby od niechcenia polecił się Pasqualowi, prosząc aby ich odwiedził w Torre.

— Mieszkacie w Torre? — zapytał pisarz.

— Kochany nasz kum Rafael nas zaprasza — pospieszył poinformować zapałkarz, który o Torry del Greco dowiedział się przed pół godziną z gadaniny Pasquala.

— I o tej porze będziecie tam wracali? — zapytał ponownie pisarz.

— O, to bliźiutko, — odparł rumieniąc się człowieczek.

— Idziecie piechotą?

— Chodzenie mi służy — zapewnił skwapliwie Rafael.

— A córeczka? — Zostawiacie ją samą w domu?

Pisarz zmierzył go błyszczącymi oczkami, z których chwilami zdawała się wyzierać szydercza ironja. — Poszła z gospodynią do teatru w Galerji' gdzie śpiewają piosenki. Wróć dorozką.

Wyrzucił to jednym tchem, i naraz chęć go wzięła opowiedzieć wszystkim, jak piękna była jego Concettella dzisiaj wieczorem w błękitnym staniczku i z oczyma iskrzącymi radością, tak piękna, że nie miał odwagi nie widzieć jej przez tyle czasu i przywłókł się za nią, idąc prawie trzy godziny z Sciosciam-

mocą, aby dojść do Galerji, w tej mętnej nadziei, że znajdzie jakieś okienko, przez które będzie mógł ją podziwiać, czy że jakiś szczęśliwy wypadek pozwoli mu ją ujrzeć pośród tłumu, lub że przynajmniej — w najgorszym razie — dadzą mu wejść do sali ponad tą, gdzie siedzi ona. Byłoby to niemał, jakgdyby mógł czuć jej oddech. Przez drogę Rafael wtajemniczył wierną psinę, która zdawała się rozumieć, podszczekując, ilekroć usłyszał imię „maleńkiej”. I takto miał się zakończyć ten niezwykły wieczór! Rafael czuł chaos w biednej, oszołomionej głowie, nic więc nie śmiał powiedzieć, ani o błękitnym staniczku, ani o swoim przedsięwzięciu; ścisnął dłonie, które mu podawano, słyszał jak przez mgłę zapewnienie przywiązania zapałkarza, bąkał przeproszenia i podziękowania, aż znalazł się, nie wiedząc nawet jak, na pustej ulicy, sam jeden z trzema psami, które wiernie biegły koło niego.

Na miejskim zegarze biła północ.

* * *

Poważna cisza leżała na zalanym lekką mgłą placu. Pomnik Wiktora Emanuela rysował się ostrą linią na błękitnym tle. Wielki król, prawie niewidzialny w szczegółach posągowych, śnił z głową w chmurze, w bladym świetle, które jakby roztopiało się wokół niego, aby uwypuklić dobitniej jego postać, lecz razem, aby omglić jego materialny zarys i zdał się tak ożywiony wielokrotnem i głębokim życiem — że już nie pojedyncza postać wznosiła się w spżu, ale cała legendowa epopea, waleczny hufiec opiekujących duchów ojczyzny.

Rafael, idąc wolniutko ku wybrzeżu, pogrążony w dumaniach, podniósł głowę i myślą pozdrowił sta-

tuę. Proste jego serce pielegnowało nietknięte dawne uczucie czci, chociaż mózg osłabiony przechowywał już tylko mętną pamięć faktów, dalekie wspomnienie czasów, kiedy i on, biedny chuderlawy zapaleniec miał pierś wezbraną wielkim porywem, uniesieniem wobec bohaterów, o których czynach rozpowiadano wówczas ze drżeniem po ulicach miasta. Sciosciammocca, nieco znużony długą sjeżdżą w urządzie policyjnym, wyskakiwał koło niego, poszczekując urywanie na znak zadowolenia i nie raczył trzymać się dwu psów przybłądów, które teraz harcowały śmiało, jak wytrawne nocne włóczęgi.

Jednak widok nieznanych okolic za zakretem zbil je jakoś z tropu: zdawały się naradzać między sobą, wreszcie zawróciły zwolna dawną drogą, obzie-rając się raz po raz za wyniosłym towarzyszem i rozważając, być może, w psich swoich mózgach zagadkę owego zbratania się losów i owego rozstania bez wiadomej przyczyny.

Rafaël, dążąc nadbrzeżną drogą, mniej więcej tak jak te dwa psy, roztrząsał dziwne wydarzenia dzisiejszego wieczora.

Zwyczaj powierzania Sciosciammocce najskrytszych wątpliwości duszy kazał mu i teraz zapuścić się w monolog, któremu zwierzątko jakby przytakiwało stryżeniem uszami i ustawicznym przyciszonym *gru, gru*.

— Poszły sobie — zaczął powoli człowieczek z westchnieniem ulgi — nawiązując do niepożądanego towarzyszy, którym w łagodności swojej nie chciał się opędzać, chociaż ich natrętność napelniała go niejasnym uczuciem zabobonnego lęku.

I zaczął krążyć myślą przerywając monolog to niememi rojeniami, to przyjaznym pokrzykiem dla wywołania potwierdzenia ze strony Sciosciamnocchi.

— Mniejsza z tem! Coby też powiedziała nasza Concettella, widząc nas przychodzących we czwórce? Sciosciammo, boję się, że nie będzie zadowolona

z naszej eskapady. Pomyśli, że wyrzuciliśmy pieniądze. Gdybyśmy tak mogli być w domu przed nią!... Ten czarny pies nie podobał mi się, taki miał jakiś cudacki wygląd. Ale dosyć. Pójdziemy trochę prędzej, chcesz, Sciosciammocca? A Pasqualino? Ktoby się był spodziewał takiego spotkania? I w takim miejscu! A to miał chłopak szczęście od początku! Gotów zarabiać trzy, cztery liry dziennie. Ten drugi niemiły, ten co to mnie klepał po ramieniu, wiesz? Rigoletto...

Człowieczek uśmiechnął się sam do siebie i potrząsnął głową, tak samo jak kiedy usłyszał nieprawdopodobną opowieść policjanta, poczem nawrócił do swych rojeń.

— Ten zapalczak i tamci wszyscy, co za poczciwi ludzie! Są jeszcze na świecie przyjaciele. I Pasqualino nie kazał nam płacić kary. Co na to powie Concettella? Ej, Sciosciammo, ofuknie nas ona czasem, ale co za anioł dziewczyna! Powiada, że mamy słabą głowę i ma słuszność. Gdyby nie ta głowa, nie spadlibyśmy aż do... Bo szastać, nie szastaliśmy nigdy. Nawet w karczmie. Obiecałem to Rusinelli. Biedna moja Rusinella! szczęśliwi umarli, oni nie widzą... A dziś wieczór Pasqualino pytał mię o łódkę...

Chude policzki pociemniały mu w mroku. Mgła gęstniała. Rzadkie latarnie na drodze dei Granili wyglądały chwilami jak tajemnicze widma o długich, wyblakłych twarzach, pełnych sztyderstwa, chwilami jak dalekie pochody, które z dymiących pochodni, sieją na czarny krajobraz drzące plamy fioletowych promieni.

— O przekłete zajęciel! — mruknął przez zęby biedaczysko i pogrążył się w długą zadumę. — Ale napewno mała czarna główka wychyliła się z przędzy myśli, gdyż oczy zaświeciły mu nagle, jak zawsze ilekroć „maleńka”, stawała mu w wyobraźni, rozprostował pochylone ramiona, przyspieszył kroku i znowu zbliżył się do swego powiernika.

Sciosciammò mój, powiedz tylko, gdybyśmy tak nie mieli tego złotego stworzenia? Widziałeś, co za cudo było dziś wieczorem? Wyglądała jak królowa. Gdybyśmy byli panami, Sciosciammò, ileby to było błękitnych staniczków i kokardek i koralu i kapeluszy z piórami, takich jak ma gospodyni... A to musiały się bawić! Gdybyśmy byli panami, poszlibyśmy i my, żeby ją zobaczyć, ba!

Latarnie miały faktycznie sarkastyczny uśmiech na białych twarzach, dwa światelka na środku zastawionej w pewnym punkcie drogi, błyszcząły zdala jak fosforyzujące źrenice. Kiedy człowieczek przechodził mimo, bryznęły nań szyderczym chichotem.

Rafaelowi stanął w myśli stary pisarz.

— O nietylko jeden Rigoletto miał piękną córkę. Piękniejszej od nas nie ma nikt. A haftuje lepiej od gospodyni. Cały dzień przy pracy, biedactwo. Wstyd dla nas, którzy nie zarabiamy dosyć, aby z niej uczynić panią. Sciosciammò mój, serce mię boli, gdy patrzę na jej trud. Biedna Rusinella, szczęśliwi umarli. Gdyby wiedziała! — Pasqualino nas odwiedzi.

Rumiana twarz urzędnika uśmiechnęła się doń z lampy jakiegoś zajazdu, jeszcze otwartego o tej godzinie; w latarniach, wydłużonych przez mgłę, zamajaczyła, migocąc, postać zapalnika i wielka figura stójkowego, wynurzająca się z ciżby u ujścia Galerji.

— Co za tyka — zawyrokował człowieczek do Sciosciammocchi i nie znalazł bardziej gorzkiego określenia dla wszechmocnego olbrzyma, który usiłował go uwięzić. — Ale nawet żal nie gościł długo w jego myśli, która bezwiednie nawróciła znowu do tkliwego zachwyty i przebiegła z zadowoleniem cały szereg nieznanych przyjaciół, nie pomijając żadnego. Okrągłemi twarzami dwóch nieruchomych światel patrzyli nań handlarz rozków karalowych i baba, któ-

ra utrzymywała całą rodzinę zwierząt domowych; w drżących płomykach ożyły zawadjackie andrusy, a wenecki balonik, huśtający się na szczycie długiego drąga, przywiódł mu przed oczy wymowny obraz policjanta, czciciela Bachusa.

— A dobry wieczór, Rigoletto... Przepity głos zadźwięczał mu w uszach. A co wygadywał pisarz... Et, bzdurstwa! A jednak ten stary pan, czarno ubrany, miał wygląd dostojny.

Latarnie ożyły co do jednej, jakby zaczarowane, i zatoczyły się we mgle fantastycznym płasem; owiodły go wieńcem, kołując zawrotnie, aż między nim a niemi wywinął się okrąg twarzy wesółych i szyderczych. Inne głosy, już nie pisarza, nie Pasquala, nie zapalnika, nadbiegły dalekim chórem:

O pazzariello o pazzariello...

I nieszczęsny w swej podwójnej roli pazzariella i ulicznego śpiewaka ujrzał sam siebie, jak tańczy przed uragliwym tłumem, jak wykrzywia usta komicznym wyrazem, jak podryguje, skrobiąc na gitarze, lub dmie w cudowny klarnet, który w pewnym momencie wywala hałaśliwie język, przyczem tłum z odrazą odsuwa się od grajka. Ale język wyprawia grymasy i ludzie bawią się niemi, tłum wraca nawo, chwając sprytny pomysł, a tymczasem on, Rafael, upadający ze zmęczenia, drepce, wykrzywia się i powtarza niedorzeczne piosenki, które przeplata opisami towaru, prawie zawsze z dziedziny gastronomicznej, kazano ma bowiem rozgłaszać jego doskonałość, aby spaśli sklepikarze, mogli się zbożać dzięki zaciekawieniu, jak na ich korzyść wywoła. A tak musi zawsze mieć jednocześnie na oku dwie odmienne publiki, i skoro tylko mignie mu dorożka pełna kraciastych ubrań i podróźnych czapek, w te

pędy intonuje *Funiculi Funiculà**), która dla cudzoziemców streszcza w sobie całą pieśń nieapolitańską!

Z tych dwojga zajęć popłatniejszy był zawód śpiewaka ulicznego niż gra na klarncie. Człowieczek biegł za powozami, dopóki tylko melodia jego mogła dolecieć *Jammo, jammo, jammo, Funiculi, Funiculà*, — soldy padały jak deszcz. Lecz kiedy cudzoziemcy oddalali się, pazzariello pozostawał sam jeden z kapeluszem na bakier i z upokorzonym Sciosciammocą u nogi, patrzył na pieniądze. Iśniące w pyłe szosy, instrument wypadał mu z zesztyniałych palców i pierś podnosiła się ciężkim westchnieniem. Tam, za tym rzędem dómostw, było morze, morze wolnych i silnych rybaków, pięknych łodzi żaglowych i czółen z obrazkiem Madonny pompejańskiej...

Niekiedy starzec zwlekał z podniesieniem jemużny, palec jego bezwiednie szukały strun gitary a złamany głosik śpiewał piskliwie:

*Si vuò, veni cu mme, mieze'a lu mare**)*

— Jezu — szepnął nagle Rafael — kuląc się w mrokach. Jakaś krzykliwa kompanja szła naprzeciw niego, we mgłę nieomal otarli się o siebie, nie widząc. Latarnie powróciły na miejsca, opętany płas uspokoił się w mózgu starca.

San Giovanni a Teduccio, wioska, którą właśnie mijał, spała wtulona w błękitny opar z dwoma rzędami ciemnych domków wzdłuż gościńca. Droga, przez cały czas ujęta w dwa jednostajne murki, biegła bez przerwy do Portici, a w miarę zbliżania się do wesołego miasteczka, przybierała wygląd pogodniejszy i bardziej śmiejący. Przybywało willi, przez sztachety

) Znana piosenka neapolitańska; *Jammo, iammo* i t. d. Chodźmy, chodźmy i t.d.

*) Piosenka neapolitańska: Gdy chcesz, chodź ze mną na morze.

przeświecały gałki pomarańczowe i ogrody, wznoszące się łagodnie po jednej stronie szosy, spadające ku morzu po drugiej.

Raafaelowi, który przechodził tędy setki razy znał wszystko na pamięć, dzisiaj domki poroste glicyniami i wspaniałe pańskie siedziby wydały się zupełnie zmienione, piękniejsze, bardziej fantastyczne, jakgdyby biała mgła, która je spowiła, pozbawiła je wszelkiej materjalności i ukazała, czem były w rzeczy samej zaczarowanymi pałacami, wzniesionymi na obłokach przez zakłęta potęgę na gościnę dla istot naziemskich, których spojrzeń nie powinien mieć widok nędzy ludzkiej, mrowiącej się i cierpiącej po drogach.

Człowieczek westchnął. Jakże szczęśliwi są bogacze, że mieszkają w ciepłych domach, gdzie wszystko oddycha ochędostwem, a nie błazeństwami i bezwstydnym śmiechem, gdzie nie dochodzą krzyki paz zarelów! Potrząsnął głową zwykłym swoim ruchem w którym rezygnacja zlewała się z bezmiarem poczciwości, ze szczyptą pokornej niewiary, a zarazem z ogromem naiwnej łatwości.

Słusznie dzieje się, że piękne istoty mieszkają w pięknych domach i że nie widzą nędzy. Gdyby tylko mógł swoją Concettellę umieścić w takim pałacu, aby żyła życiem z bajki, wysoko wśród obłoków, choćby daleko od niego, byle tylko wyniesiona nad nikczemny, rojący się tłum, do którego i on należał!

Latarnie znowu poczęły uśmiechać się doń z za mgły. Były to tym razem poczciwe oblicza przyjaciół, które mówiły: Wiesz? a córka Rigoletta, błązna, któremu płacono za to, że rozśmieszał ludzi, jak ty, jak ty...

Były tam i wesołe twarzązki dzieciąt, które widywał za kratami ogrodów, i które mówiły doń: — Twoja Concettella jak my, jak my...

Była i promienna twarz zmarłej Rosiny i mówiła: Wiesz?... wiesz?... .

Rafaël wtrząsnął się. Jakiś cień szedł naprzeciw niego pod murem. Usunął się gwałtownie — nieznanomy minął, spojrzeli na siebie z pode łba we mgle, z nieufnością.

Błękitny opar, gęstniejący coraz bardziej nad drogą, dziwnie zmieniał wygląd rzeczy, w spokojnym przechodniu Rafaël dopatrywał się wrogiego widma, w podejrziwym spojrzeniu, które raczej odgadnął niż zobaczył, wyczytał wyraźne naigrwanie.

— Sciosciammocca mój — westchnął cicho — to zupełnie jakby w teatrze.

Zwierzątko, zaniedbane przez chwilę, wyraziło wdzięczność, otarłszy się pyszczkiem o kolano pana, co się wydziedziczonemu wydało melancholijnem przytakiwaniem jego rozmyślaniom.

— Jakby w teatrze — powtórzył, by utwierdzić jeszcze w tem przekonaniu siebie i psa. I poczuł ni stąd ni zowąd, po głosie, nagle załamany, po wyczerpaniu fizycznem, po bloesnej niepewności myśli, niezdolnej do zdobycia równowagi — jak daleko zabrnął w świat niedozwolony, jak zaszedł na pochyłość wyobraźni, rozszerzając granice możliwości aż do skrajów cudu, ażeby po tem wszystkiem uczuć się w gruncie jeszcze bardziej zmęczonym, biedniejszym i bardziej samotnym w tej nocnej podróży, pośród nieruchomych latarni, w których w tej chwili nic i nikt mu się nie uśmiechał,

Już miał poddać się znużeniu, uleść pokusie spoczynku i nieświadomionemu pragnieniu uspienia swego wyczerpania na jakim bądź progu, kiedy wstrząsnął nim wesoly odgłos dzwonek i ożywił go — wprost jak cud. Sciosciammocca, którego nieomylny słuch podchwycił już był dźwięk znanego głosu, rzucił się ze szczeniem ku dorożce, najeżdżającej od strony zgiełkliwego miasta, a ciągnionej przez dwie

klusujące szkapiny. Echo dzisiejszej wesołości trwało jeszcze w radosnym rozgwarze, nad którym górował przez chwilę jasny śmiech Concettelli.

Jadący zawołali nań zapraszając, aby wsiadł; dorożka przystanąła i srebrny głos dziewczęcy rozebrzmiał mu w uszach jak pocałunek: — Proszę, chodźcie do nas, ojczce. — Usiadł z Sciosciammocą między kolanami, skulony w kącie i jechał ciężkim pojazdem po drodze do Torre del Greco, jakby niesiony na skrzydłach marzenia, a razem z dorożką, chudemi szkapami i własną wyobraźnią czuł się lekki, powietrzniany płynący na rozwieje nieskończoności. Immacolata Concezione siedziała naprzeciw niego, patrzył na nią wniebowzięty, wydawała mu się anielska w swoim błękitnym staniczku, i białym szaliku, we mgle, która zacierała zarysy, czyniąc wszystko dziwnem i niespodziewanem.

— Czemuby nie? — rzekł sam do siebie człowieczek, podniecony niezwykłymi zjawami tego pamiętnego wieczora. I w bladym półśnie, na skrzydłach rozbujanej wyobraźni galopował bez kresu i opamiętania w objęciach cudowności i wiary.

Immacolata Concezione cesała długie warkocze, przeglądając się w lusterku, zawieszonym na gwoździu koło okna. Z ordynarnej płytki szklanej, przeżartej plamami wilgoci i przetupanej szramą, wychylała się twarz ziemista ze skośnymi oczami, które drgały w zielonej tafli.

Niskie okienko o zachuchanych szybach, ozdobione jedynie doniczką mięty, izdebka pełna porozwalanych sprzętów, popękana podłoga i kilka lichych szmatek, wiszących na ścianie, stanowiły dziwny kontrast z tą harmonijną istotą, roztaczającą w nędznym otoczeniu swoją wrodzoną pańską.

Immacolata Concezione, bezwiednie roztargniona, błędziła wzrokiem poza oknem, poza zapyloną ulicą, po ogródku, leżącym naprzeciwko domu. Bogactwo pomarańcz, niektórych już prawie dojrzałych, gorejących w słońcu jak małe kulki złota, rozweselało gęste listowie, tu i owdzie zaczynały wystzeliwać grona pąków.

Dziewczyna zwinęła gąszcz włosów w lśniący węzeł, który z nieświadomym poczuciem artystycznym upięła nieco wyżej karku, według mody pompejańskiej, odsłaniając wysmukłą szyjkę białości gardenji. Poglądziła dłońmi delikatny przedziałek nad czołem, narzuciła ciemną sukienkę, dookoła szyi nałożyła koronkę i westchnęła spojrzawszy ostatni raz w zwierciadło, które wykoślawiało jej młodzieńczy obraz.

— Et, nędza—odezwiała się w głos, jakby rozmawiając z kimś, niewidocznym w ciemni.

Nikt z pokoju nie odpowiedział, tylko powiew wietrzyka musnął szyby, budząc lekki dreszczyk.

Concettella spojrzała na kwiaty i zamyśliła się jeszcze głębiej.

Te podmuchy, podpływające ku oknom i konające ciepłem tchnieniem wśród gałązek pomarańcz, te odurzające wonie i rozgwar głosów, ten biały gościniec, wijący się taśmą wśród sadów i ogrodów, aż do zaczarowanego kręgu wesołości i ruiny,—wszystko to dobrze uosabiało życie: zawrotne, pociągające i nieznanne.

Ale w domku, zamkniętym dla powiewów, które nanosiły nasiona i echa, w ciasnym kręgu istnienia, płynącego jednostajnie między rękodzielnią koronkarską a garnkami, między paplaniną kumy Łucji, gospodyni, a pokornym milczeniem Rafaela, pazzarela, panowała nieznośna dla płuc atmosfera, niby w więzieniu, do którego nie dochodzi słońce.

Tak myślała Concettella, sprząając pokój i przesadzając mimowolnie wrażenie nudy, jaką ją przejmowało życie, oglądane z tego punktu widzenia. Ilekroć patrzyła na drogę, biegnącą w jedną stronę do Neapolu, w drugą do Pompei, na dorożki, pełne cudzoziemców, spieszących do wykopalisk, na eleganckie pojazdy, któremi pobożnisie zdążyły do cudownej kaplicy, tylekroć dziwna tęsknota owładała jej duszą, zwalając się poczuciem bolesnej niemocy na myśl, zwróconą nieubłaganie ku radości życia. W ten lutowy poranek, który był zarazem smutną uroczystością religijną, Immacolata Concezione czuła się bardziej niż kiedykolwiek skłoną do rzucania co chwila za okno pełnego żalu spojrzenia, choć go nic na pustej, zawianej wiatrem drodze nie mogło usprawiedliwić.

Ale Concettella w krótkim śnie, który zamknął jedyny w jej życiu dzień wspomnień, przewracała się

na poduszkach, podniecona nad miarę, ścigana nowymi widzeniami, co wzbogaciły jej i tak już bogaty skarbiec wyobraźni i przeżywała raz jeszcze w zgłębliwych zjawach swoje wrażenia kopciuszką podczas tej świątecznej, rozhukanej nocy.

Świt zastał ją niemal zgorączkowaną. I teraz myśl mętna krążyła między marzeniem a rzeczywistością, a z niepokojem serca zestrajała się lekkie oszołomienie mózgu, wytraconego ze zwykłej kolei przez intermezzo zabawy na tle jednostajnej przędzy dni.

Właśnie Concettella chowała do szuflady błękitny staniczek, który przewieszony przez poręcz łóżka, z obwisłymi rękawami czynił wrażenie opadłego martwego ciała. Oczy dziewczęcia zaświeciły od powstrzymywanych łez, przez śnieżną szyjkę aż po policzki, przebiegła ciemna fala krwi i drobna żyłka wystąpiła na skroni.

Rafael, ojciec jej, znał tę żyłkę, która wyglądała jak delikatna arabeska, i kiedy nabrzmiewała, fiołkowa na białości skóry, była niezawodnym znakiem burzy. Ale zaiste tego ranka ładodny człowieczek nie umiałby w żaden sposób wyjaśnić sobie, dlaczego gniew czy ból znaczyły w ten sposób czoło jego dziecka.

Concettella miała rozrywkę, była w teatrze w Gallerji, i podczas błazeństw pajaców śmiała się tak, że aż ludzie się obracali, jak mu powtórzyła cała kompanja, ubawiona tą dziecięcą wesołością. Biedaczysko, który słysząc tylko o tem, miał już wrażenie, że niebo przed nim się otwiera, nie mógł wątpić, że przed jego „maleńką” otwarło się w rzeczy samej.

O pół do dziewiątej zastukał do drzwi jej pokoiku, przynosząc trochę kawy z odgrzewaniem już ciastem, które łaskawie ofiarowywała mu gospodyni wzamian za pewne wyświadczone jej usługi. On sam sypiał w kuchni, wstawał ledwie zapiał koguty i krzą-

tał się po swojej ciupce, zmywając talerze z wczorajszego wieczora i warząc zwykłą chudą zupinę; Concettelli zostawało jedynie sprzątnięcie własnej izdebki, tak że gdy na starym schodowym zagarze biła ósma, mogła już zawsze siadać do roboty.

Szczęśliwe czasy przypominał ten zegar, ten ekscentryczny mechanizm, który mierzył czas we właściwy sobie sposób. Był on niegdyś własnością człowieczka, a pozostawił mu go niemy lokator pokoju, wynajmowanego na lato, w okresie kiedy jeszcze rybacka łódź imci Rafaela należała do najbardziej znanych w Torre del Greco, a w domu żyło się w pewnym dobrobycie, który nakazywał szacunek. Jego ciche *tik-tak*, przypominające ciężki oddech chorej piersi ludzkiej, oznajmiło ongi godziny narodzin i zgonu.

Pólnoc, — gwałtowna burza, uderzenia wichury wstrząsają podwalinami domostw, ryk morza wdziera się aż do cichej izdebki i okiennice biją konwulsyjnie, odslaniając co chwila niebo, porżnięte bliznami płomieni. Concettella przyszła na świat wśród tłumionych burzą jęków matki, która powtarzała z dziwnym uporem: „Dziecino, dziecino moja, porzucam cię w boleści”... I inne tajemnicze słowa, których znaczenia Rafael nie pochwycił, ale które pozostawiły mu w uszach niby żałobne echo: „W boleści cię rzucam, dziecino moja”...

Świt, — sina godzina dnienia, na dworze ziąb i smętek konającej przyrody. W ogródku Rusinelli oblatają ostatnie grudniowe róże, zmęczone ulewą, która trwała uparcie dwa długie miesiące. A ona umarła, prawie nie wiedząc o tem, w wielkim łóżku małżeńskim, w pokoiku, gdzie zaczęła już powoli zaglądać nędza, obok malutkiej, która spała koło niej, nie rozumiejąc własnego nieszczęścia.

Ale Concettella nie wiedziała nic o tych starych dziejach, o ustawicznej katuszy, jaką ich wspomnienie

nieciło w duszy ojcowskiej. Przyszły nowe kłeski, które cichy człowieczek przeniósł w milczeniu. Dopiero z czasem dziewczynka miała odczuć ich bolesne skutki.

Jeszcze raz, kiedyś, rozszalała się burza, a on wyczekiwał drżący, ze wzrokiem wlepionym w tarczę zegara, gdzie skazówki, jak zwykle, pożerały godziny; pod wieczór przyniesiono mu wiadomość, że *Immacolata Concezione*, jego śliczna łódź rybacka, wynajęta do Masciantonio di Resina, zagubiła się na morzu nocą. Sprzysięgły się nań wszystkie kłeski, które zmagają się chyba umyślnie, by niweczyć życie.

Postradawszy to źródło zarobku, Rafael zaciął się, aby żadną miarą nie dać odczuć swojej „maleńkiej” zmiany położenia. Concetta, która miała podówczas siedem lat i już chodziła do szkoły, pozostała i nadal najschludniejszą między koleżankami, biednymi obdartuskami, zrodzonymi z nędzy i głodu. Dziewczynka zdradzała już wtedy wyraźnie cechy maleńkiej rozrutnicy: dotykała paluszkami płam na fartuszkach i czekała aż jej go zmieniają, nie mając najmniejszej wątpliwości, że jej nie pozwolą mieć na sobie nic zbrukanego. O każdej porze dnia żądała, aby jej porządkowano ubranko, aby jej myto brudne łapki, a złożwszy je potem na fartuszkach, drobniutkie i różowe, przypatrywała im się z zadowoleniem. Nigdy nie dokazywała zanadto i często zagadywała ojca, czy i inne dziewczynki są podobne do niej, a małe jej czołko, pewien specjalny błysk oczek i subtelne linie ciała dawały już same przez się odpowiedź przeczącą, wyraźnie podkreślając jej niezrozumiałą pańskość. Wszystko to było zastanawiające, ale nie niepokoiło Rafaela, który ubóstwiał ją religijnie i o jedno troszczył się wyłącznie: aby dookoła delikatnej łatorośli utrzymać atmosferę dobrobytu, bo w takiej jedynie zdawało się, mogła kwitnąć. To też zawczasu czuł się upokorzony własną

niemocą, nieuctwem i nędzą, które mu nie pozwalały podążać za nią krok w krok, w miarę jak się będzie wznosiła ponad tłum, piękna, wyniosła lilja wśród nędznej, szorstkiej tarniny ullcznej.

I tak Rafael próbował potrosze wszystkich zawodów, starał się odkupić łódkę, ale chytry kum okpił go na pieniądzach, przeznaczonych na zapłatę; wynajmował pokoje, był posługaczem, handlarzem ryb i faktorem. Powoli mózg jego się osłabiał skutkiem bolesnych przejść rodzinnych. Szczęśliwy właściciel *Immacolata Concezione* łagodny człowieczyna, unikający zwad, niezdolny do intryg, uczciwy aż do śmieszności, nie był stworzony do tych wszystkich zawodów; nielitościwe spółzawodnictwo innych i naiwna prostoduszność własna sprzysięgły się, by go wyrzucić poza nawias. Wtedy kum Łukasz, jego lokator, wyzyskał właściwy moment, aby go wciągnąć w spekulację. Bóg wie co za ciemne operacje chciał oznaczyć tem mianem, przez pół uczciwym, ów lichwiarz kamorrysta. Skuszony obietnicą łatwych zysków, i wierząc w kuma Łukasza jak w opatrzność, „mastro Raffaele” spekulował z zamkniętymi oczyma, aż wreszcie pewnego pięknego poranku domek przeszedł na własność kuma, a on sam, dzięki wspaniałomyślności Łukasza i wstawiennictwu kumy Łucji, został wyprawiony niemal w charakterze żebraka, na poddasze, gdzie poprzednio rezydowała ta miła para. Wszystko, wszystko się zmieniło, wszystko obróciło w niwecz, i jego ojcowskie nadzieje, i wyniosłość Concettiny, i dobra sława domu i ostatniu iskierka inteligencji, jaka została jeszcze nieszczęśliwemu.

Wszelako w duszy łagodnej i skrzywdzonej istoty nie zakiełkowało dotąd podejrzenie, serce jego przejęte było wdzięcznością dla zubrawca, który potrafił przedstawić się jako dobroczyńca, a na szczytku strzaskanego okrętu szczęścia jego i dumy płynęła zawsze pełna pokory wiara w dobroć ludzką.

I to także przyczyniło się, że resztką dawnego poważania, jakim cieszył się jeszcze w Torre del Greco, zaczęła maleć stopniowo, w miarę jak malało mienie. I kiedy Concettella, dumna, że nie zawdzięcza nic nikomu, trawiła słoneczną młodość swoją nad robotą i uczyła się od kумы kunsztu koronkarskiego, nieszczęśliwy staczał się z ruiny w ruinę, aż spadł do zawiązania spótki ze ślepcem i kaleką, właścicielami katarynki w Barberia. Zbratali swoją potrójną nędzę, kręcili kolejno korbą, przepłatając urywki z oper i baletów piosenkami, które kaleka śpiewał, gdy tamci dwaj akompanjowali na gitarach, i w ten sposób udawało im się zarabiać do dwu, trzech lirów dziennie.

Potem jeszcze stopień niżej. Dwaj wędrowni grajkowie zauważyli, że dochody w Neapolu stają się niewystarczające i postanowili przenieść się w inne strony ciągnąc gościńcami, aż póki nie natrafiają na inne miasta. Sami zresztą nie wiedzieli dobrze, dokąd się udadzą, że zaś Rafael nie miał odwagi oddać się od swego dziewczątka, zaczął własnym przemysłem włóczyć się z Scioscammocą i z gitarą po zajazdach, wzywano go na serenady, grywał po kiermaszach.

I tak niżej i niżej, aż póki nie został koczującym śpiewakiem ulicznym, krotochwilnym *pazzariellem*, wynajmowanym poprostu jak instrument.

* * *

Immcaolata Concesione siadła na brzegu łóżka, w nagłym opadnięciu wszystkich sił moralnych i fizycznych, wobec bolesnego widzenia, jakie owładnęło jej myślą. Jeśli przepaść nędzy ma dno, to oni właśnie na tem dniu dziś żyją. Poniżej ich upadku jest już tylko zatracenie. Zmartwiały wzrok dziewczęcia wpił się w twarz przeznaczonemu, lecz dokoła chciwej światła młodości leżał gąszcz mroków i niepodobna

było w tajemniczych hieroglifach przyszłości odcyfrować linii własnego życia. Tylko przyspieszone bicie serca pod suknią robotnicy, a w piersi zatrważające niemal pożądanie radości, zlanej ze wszelkich rozkoszy życia, ostrzegało niejasno Concettelle, że nie wybierze właściwej swojej drogi, lecz pójdzie fatalnie tam, gdzie zagna ją krew, nerwy, porywy i namięność, tak jak zmylił swe ścieżki ojciec, prosty, łatwo wierny człowiek, odplacający uczuciem chytrym lotrom, którzy go podchodzili, jak pobłdziła kuma Łucja, jej chrzestna matka, bo ją zżerały chciwość i sknerstwo, zabijając w jej duszy resztki jakiegobądź wrodzonej dobroci.

Zastukano lekko do drzwi. Concettella porwała się z łóżka, przyciskając konwulsyjnie dłoń do twarzy, aby wzburzone rysy pokryć maską lodową.

Kuma Łucja wtoczyła się do izby z hałasem, za nią wsunął się lekliwie Rafael.

— Serdeńko moje, serdeńko, msza nie czeka, nie czeka—wołała rozlewna kuma z właściwym sobie potokiem słów, z którym Concettella ostatecznie musiała się pogodzić. I wierząc się po pokoju jak fryga, podbiegła ku dziewczynie, ściskając ją z uniesieniem i napomykając wśród pieszczot, jak była piękna wczorajszego wieczora.

— Piękna, jak anioł! I nie mamy nic do powiedzenia kumie Łucji, kumie Łucji?

— Brzydkie dziecko. Coś tu robiła sama jedna? Co znaczy ten zaczerwieniony buziak? Czyś płakała? Czy płakało moje serdeńko?

Kobieta przybrała wyraz napół tragiczny, napół skruszony.

— Patrzenie-no, kumie Rafaelu. To cudo płacze. A wy nic na to? Nie wezwaliście mię wcale, stoicie tu jak drąg, kiedy to cudo płacze!

Kuma Łucja ujęła się pod boki, i zadartszy głowę, patrzyła nań uparcie z wyrazem badawczym

i wyzywającym. Człowieczek, widząc córkę taką rozdrażnioną, wystrzeszył oczy, i wargi poczęły mu drżeć jakimś jękaniem, które przypominało początek dziecięcego płaczu.

— Dosyć — rzekła dziewczyna, podnosząc się wyniosła, jak zawsze, gdy zapominała o upokarzającym położeniu obecnem.

Dziwna wrogość rysowała się w stosunku jej do tej kobiety, która przy swojej, pełnej hypokryzji, masce poczciwości, musiała udawać pobłażanie. Na tle wzburzonych myśli dziewczyny wspomnienie wynurzyło się na nowo, a żal, przyćmiony przez inne mętne niepokoje, zawrzał z głuchą mocą.

Tłuściocha skuliła kark, w pewnym właściwym sobie ruchu ramion, który wyraźnie zdradzał długie nawyknięcie do służalstwa; twarz jej, o oczach pełnych zazwyczaj jakiegoś żarłocznego wyrazu, mogła w tej chwili iść w zawody z pełną poczciwej pokory twarzą starca.

— Nawet do kościoła nie wpadniesz na chwilę, dziś, w popielec? zagadnęła głosem pełnym skruchy.
— Idę — odpowiedziała niechętnie Concettella, owijając głowę szalikiem.

Oczy kobiety zamigotały pod zjeżonym łukiem brwi.

— Och, co to znów za sposób! — zaskrzeczała, odzyskawszy zwykłą swoją rozlewność — to tak kładą welon takie śliczności? Trzeba zawsze być piękną, serdeńko — nigdy nie wiadomo... — dorzuciła szeptem w samo ucho towarzyszki. Krew zagotowała się w sercu Concettelli i podniosła falą ku pobladłym policzkom.

Rafaël, jak zwykle, pozostał dla pilnowania domu, nie pozwalając sobie na zbytek towarzyszenia córce do kościoła.

*

*

Po drodze kobiety nie odezwały się ani słowem, Concetta przez nieufną wstrzeźliwość, dręczona tysiącem sprzecznych myśli, kuma Łucja, ponieważ uważała za wskazane uszanować kaprys dziewczęcia, które ostatnimi czasy urosło w jej oczach.

Stało się to mianowicie, gdy kiedyś, w sam dzień wilji, odesłała przez nią do domu państwa Meyer w Neapolu, otrzymane do zacerowania koronki, i kiedy, w dwa dni później, przyszedłszy osobiście z rachunkiem, spotkała się w przedpokoju z Fryderykiem Meyerem, ślicznym, miłym blondynkiem, który rozmawiał z nią niebywale uprzejmie, aby wyciągnąć od niej jakieś ciekawe szczegóły o jej pięknych robotnicach. Kuma Łucja nie dała się prosić i wygadała, co uważała za stosowne, nic za dużo, nic za mało, wając przebiegle słowa, aby nie skompromitować się, a w razie czego mózdz wyciągnąć korzyść z wypadków, jakie spryt jej odrazu zdołał zwęszyć.

Po powrocie, w mózgu swoim, ciężkim, ale szczywanym, i już pełnym śmiałych kombinacji, postanowiła rozważnie wymacać grunt. Na pierwszą wzmiankę, błękitna żyłka nabrzmiała na skroni Concettelli, i dwoje oczu szeroko rozwartych zwróciło się z wyrazem tak gwałtownego zapytania, że w myśli kobiety powstała pewność: „Panicz z nią rozmawiał“.

Przystłoniła powiekami nagły błysk zielonkawych źrenic i tego dnia nie dorzuciła już nic więcej, przestając na obserwowaniu ukradkiem dziewczyny, rozdrażnionej jak nigdy sirokiem, który od rana wiał, ciepły, niby oddech ludzki.

Ale od wesołej wilji aż do owego markotnego popielcowego ranka, który zastał obie kobiety, spieszące społem drogą od Torre, tuż obok siebie, tak że czyniły wrażenie matki i córki, kuma Łucja zdążyła już była ująć szmat drogi swemi krętymi ścieżkami, a i w sercu Concettelli zapisał się tymczasem wyraźnie uśmiechnięty blondynek, którego widywano teraz

często na drodze do Castellammare, jak z nieporównaną elegancją powoził małym konikiem, zaprzężonym do tilbury.

Córka *pazzariella*, uboga dziewczyna, pracująca na życie od świtu do wieczora, spijająca na ciasnym stryżku pod dachem, umiała doskonale ocenić niedbały wdzięk, z jakim Fryderyk Meyer popuszczał wodze i pozwalał zwolnić truchtu konikowi, aby potem niespodzianie zapanować nad nim nerwową dłońią, i popędzić go rażnym klusem. Concettella patrzyła na delikatną twarz o profilu kamei, na oczy przymglone i łagodne, na arystokratyczne ręce, na całą postać, pełną szlachetnej wytworności, i nic w jego wyszukanym ubraniu, żaden najdrobniejszy szczegół męskiej elegancji nie uszedł jej wzrokowi.

W bezwiednym wyrafinowaniu doznawała uczucia niewymownej rozkoszy, niezupełnie zresztą nowej dla siebie. Takiego dziwnego zachwycenia, takiego zadowolenia naraz wszystkich zmysłów, doznała trzy razy w życiu: dotknąwszy bardzo starego haftu, który ustępował pod palcem jak piana morska; idąc po dywanie perskim, który pod jej stopą ugiął się rozkosznie, i wdychając woń białego heliotropu, którego używał Fryderyk Meyer; odurzający powiew wdierał się jednocześnie w sukienkę robotnicy i w duszę arystokratycznej wygnanki.

Ze swej strony młodzieniec nabrał nagłego zamiłowania do „Willi Minny“, ulubionej siedziby matczynej, wypływającej z nad zwierciadła wód w pobliżu Castellammare, gdy tymczasem kuma Łucja umiała wynaleźć tysiące spraw, wymagających dłuższej jej nieobecności w godzinach, kiedy nawet kum Łukasz wychodził z domu w swoich podejrzanym interesach, a Rafael włóczył się drogami z przewieszonym przez ramię czarodziejskim klarnetem i z Sciosciammocą u nogi.

Concettella nie domyślała się tych matactw.

Myśl jej, zamykając się w czarownym odosobnieniu rodzącej się miłości, upojnej jak woń heliotropu, usypiała w miękkiej niewiedzy, co dnia mniej podatna do trzeźwego ważenia wydarzeń.

Ex-sługa, dla której milczenie okazało się pewniejszym sprzymierzeńcem, aniżeli zdradzenie prawdy, potrafiła i tym razem powstrzymać się od nierozsądnych uwag. Ot, tak tylko parę słów, rzuconych od niechcenia:

— Jaki śliczny ten panicz... I jaki grzeczny, jaki „*comil fò*“.

Kuma Łucja wyuczyla się, będąc w służbie, kilku wyrazów o egzotycznym zapachu i powtarzała je z lubością. I tak podziwiała *trilboro* i *grumma*, chwaliła kolor krawata i podkreślenie blond wąsików, ale nie wspominała jeszcze o pałacu w Neapolu, ani o willi w Castellammare.

Z drugiej strony dla rozwiania podejrzeń młodzieńca, na którego szczęśliwym trafem natknęła się coś ze trzy, czy cztery razy na drodze ku Castellammare, znalazła się garść wymownych półsłówek, wraz ze stanowczym zapewnieniem, że Concettella jest uczciwą dziewczyną, co miało wszystko razem podnieść do reszty zepsutego panicza, który z uczciwych kobiet znał dotychczas jedynie własną matkę.

Właśnie parę dni temu, widząc w oczach młodego kielkujące niedowierzanie, opowiedziała mu dzieje Rafaela, nie zabarwiając ich najmniejszym dodatkiem, ponieważ uważała je za dość wymowne w nagich zarysach, i nie zabaczyła podkreślić, że dziewczyna nie urodziła się w nikczemnych warunkach: zepchnęło ją w nie tylko nieszczęście. Wreszcie zakończyła życliwą uwagą:

Posłuchajcie dobrej rady paniczu, dajcie już jej pokój.

Nieco zmrożony, nie pokazywał się przez tydzień. Kuma Łucja triumfowała. Nie omyliła się

zatem w rachubach: w dwudziestym drugim roku życia pod maską hulaki tkwi zawsze zakochany.

Nie należało ostudzać zapału. Kuma Lucja poradziła się kuma Łukasza. I zrzędzeniem losu stało się, że Fryderyk Meyer znalazł się nieoczekiwanie przed wzrokiem piękności z Torre w Salone Margherita, gdzie, jak co roku, wpadł na chwilę w ostatni wieczór karnawałowy, przed pójściem na redutę.

Na deskach sceny w Galerji robiła furorę Manette Lescaut, szansonistka z Paryża. Jednak Fryc zdążył ledwie wejść do łoży, gdy powitała go niezwykła nowina:

— Mój drogi, — *enfonce Manette*.

Powiedział tak Gigi Squillace, wyrocznia, na której ustach wisiała cała złota młodzież neapolitańska, ponieważ, jak niosta fama, nie miał spółzawodników w ocenianiu, z pierwszego zaraz wejścia, koni wyścigowych i kobiet. Fryc podszedł do parapetu łoży i zapytał z roztargnieniem:

— Gdzie?

— Tam, na dole. Ale pierwej, czy mogę zaufać?

— O, co do mnie, to z pewnością — odparł Fryderyk, mimowoli biegnąc myślą ku swej pięknej lilji z Torre del Greco.

— A więc patrz, tam na dole, w kawiarni blada brunetka, obok tego czerwonego babska...

Squillace chciał jeszcze coś dorzucić.

— Widzę, że widzisz — przerwał sam sobie złośliwie.

Fryderyk Meyer ściągnął brwi i z nateżeniem zaczął się wpatrywać w Concettellę, chcąc ją zmusić do wyczucia swej obecności. Dziewczyna, która wyglądała na bardzo rozbawioną, oderwała na chwilę wzrok od sceny i podniosła go ku łoży. Trwało to jedno mgnienie. Concettella zastoniła oczy powiekami, a młodzieniec potarł ręką czoło. Oprzytomnił go ironiczny głos Squillacego:

— *Mon cher*, winszuję, winszuję!... Ponieważ miejsce zajęte, wybaczysz, że odejdę; nie należy do przyjemności być widzem.

Naciągał futro na frak, powoli, przypatrując się dziewczynie przez zarzucony na oko monokl, i podśpiewując piosenkę paryską: *enfonce Manette*.

— Przyjaciele będą natychmiast powiadomieni. Ale — zuch z ciebie!

W przeciąganiu głosek, w uprzejmie impertynenckim tonie, który był mu wrodzony, ale w którym owego wieczora jakby umyślnie przesadzał, w sposobie zrzucania monokla i potrząsania głową z wymuszoną życzliwością, przeświecał jakiś odcień lekceważenia, który nie uszedł uwagi towarzysza.

— Wielkie dane odziedziczyliście po ojcu: dwoje wąsików *accroche-coeur* i kilkadziesiąt milionów — mówił dalej ironiczny głos. — *Et sur cela bonne chance!*

Zakręcił się na pięcie i zniknął.

Fryderyk Meyer, pozostawszy sam, usadowił się w głębi łoży, w półcieniu firanek, żeby mógł swobodnie przypatrywać się Concettelli, nie będąc przez nią widzianym. Ze swego ukrycia ogarniał wysmukłą postać, czarną główkę, wyniesioną ponad głowy towarzyszy, i nie kaziło mu ślicznego widoku sąsiedztwo ex-służącej i kamorrvsty, obok pary wędliniarzy i jakiegoś bezwąsego smyka. Młody chłopiec mógł sobie wyobrazić, że to śliczne stworzenie o wielkopańskiej powierzchowności przyszło tylko dla niego między ten tłum, który go nic nie obchodził, lub że stawiała się dla niego na umówionej schadzce przebrana księżniczka, której on daje czekać dla przyjemności oglądania jej, jak podnosi oczy z odcieniem dumnego zdziwienia. Jakże była mu droga i wyniesiona ponad wszystkie, teraz, kiedy Gigi Squillace przyznał jej palmę pierwszeństwa, zaszczycał ją długim, badawczym spojrzeniem z pod nieomylnego monokla i tonem źle tajonej zazdrości, jaka przebi-

jała z pod jego przycinków! Piękniejsza od Manetty, dla której Pippo Torrese, jego współzawodnik na polu wyścigowym, popełnił tyle szaleństw!

Czuł, jak nim owłada nieopisane roztkliwienie, złożone potrosze z wdzięczności dla Concettelli za ten niespodziewany triumf, potrosze z ostatków jakiegoś mętnego, drzemiącego sentymentalizmu. Straszny był jeszcze dzieciak z tego jasnowłosego Fryca, mimo całych dwudziestu dwu lat i kawalerskiego mieszkanka! Matka, znając romantyczne skłonności swego małego Niemca, któremu długi pobyt w Neapolu dołał trochę ognia włoskiego, nie krzywiła się na jego stosunki z gronem sceptycznych hulaków, na których czele stał Gigi Squillace.

— Otrzeźwieje—rozumowała przewidująca dama i sama, nieproszona, coraz szerzej otwierała przed nim portmonetkę.

W istocie tej ostatniej nocy karnawałowej Fryc otrzeźwiał, ale nie w duchu, jakiego pragnęła matka. To, co się w nim budziło, to była głębia dziecięcej słabości, nieznannej jemu samemu, nieokreślona potrzeba kochania, niesformułowana jeszcze, ale natarczywa myśl, że poza pustem życiem, któremu musiał hołdować chcący uchodzić za modnego, młodzieniec, istnieje jeszcze w życiu coś nieznanego mu do-
tąd, a zasługującego na poznanie.

Było to jego pierwsze złudzenie miłosne. Poddał się jego urokowi wesoło, przyzwyczajony nie odmawiać sobie niczego, co mogło stać się źródłem przyjemności. Concettella, która dzięki szczęśliwemu zbiegowi rzeczy, była tu, blisko niego i była, jak się wyraził Gigi Squillace, czarującą istotą, która nadto miała być uczciwą dziewczyną, być może w nim zakochaną, zjawiała się przed nim we właściwej chwili, aby mu wypełnić pustkę próżniaczego istnienia. Przytem nie brakowało sielance i zabarwienia poetyckiego, które, być może, Fryc dodawał od siebie: oto

tym razem byłby na koniec kochany dla swojej pięknej twarzy, nie dla pałacu w dzielnicy Amedeo, nie dla willi w Castellammare i nie dla cibrzimej fortuny ojcowskiej.

Bo naprawdę, gdyby Concettella była taka, jak inne, czyby on teraz, po dwu miesiącach wytrwałego ubiegania się o jej względy, przypatrywał się jej jak sztubak, kiedy pierwszy raz wstępuje w szranki miłosne ze szwaczuszkami?

Immacolata Concezzione, która przestała interesować się koziołkami linoskoków, aby zająć się wyłącznie lożą, gdzie pojawił się jej piękny młodzieniec, czuła, jak zalewa ją gniew pod badawczym spojrzeniem Gigiego Squillace, którego zdaniem złościwość i bezczelność stanowiły właśnie tajemnicę elegancji światowej. Gdyby to jej platoniczny wielbiciel tak patrzył na nią przez monokl z tym* pobłażliwie drwiącym wyrazem, od czego nabrzmiewała jej delikatna żyłka na skroni, serce jej by cierpiało, ale jej duma byłaby nietknięta. Tymczasem na nieszczęście, blondynek zmarszczył czoło, słuchając w milczeniu zjadliwych uwag towarzysza, a kiedy ich spojrzenia spotkały się ze sobą, zdawało się dziewczęciu, że czyta w jego oczach namiętne błaganie.

Na resztę wieczoru Concettella zubożniała na widowisko, które początkowo było ją olśniło. Prześladowało ją to spojrzenie i kołysało w nieokreślony, dziwnie upojny sen, poza którego mgłami świat zniknął, Kuma Łucja, kum Łukasz, para sklepiarzy i biedny gołowąs, przepalający ją bezkutecznie płomiennym spojrzeniem, byli niby figurki chińskie, które widywała na wachlarzach, ojciec i Sciosciamocca—nawet oni—przesuwali się chwilami raptownie przez myśl, niby cienie latarni czarnoksiężskiej. Zabawne piosenki, upudrowana dziewczyna, wyprawiająca niebywale sztuki, rozkrzyczana widownia, orkiestra, światła ze sceny, wszystko mąciło się i umy-

kalo; jedynie między przymknięte powieki wkradał się blask jedwabiów, futer i brylantów, bijący od łoży, w której umalowana kobieta w towarzystwie jakiegoś fircyka nadawała sobie pozory wielkiej damy. Jakie szczęśliwe są panie—myślała naiwnie Concettella — że mogą ukazywać się piękne oczom swoich wielbicieli.

Przy wyjściu, kiedy tłum cisnął się przez ciemny korytarz pod Galerją, została brutalnie przywołana do rzeczywistości. Kuma Łucja, korzystając z zamieszania, wyśliznęła się w stronę Meyera, i Concettelli zdawało się, że widzi ją, jak szepce kilka słów na ucho paniczowi i oddala się bez czekania na jego odpowiedź.

Na temat tych to właśnie tajemniczych słów, wyszeptanych w sieni teatru, fantazjowała teraz uporczywie Immacolata Concezione, zacięta we wrogiem milczeniu, idąc obok towarzyski drogą przez Torre. Kuma Łucja, która nie kwapiła się z nawiązaniem rozmowy, pozdrawiała znajomych na ulicy, czy we drzwiach sklepów, w nadziei, że zdobędzie sobie jakieś towarzystwo. Ale obu kobiet unikano dość wyraźnie ze względu na lichwiarza, a Concettella, która cierpiała nad tem czas pewien, przypisując pogardę nędznemu zawodowi ojca, zżyła się w następstwie z faktem, a nawet wolała być niezależna.

Na progu kościoła kuma Łucja miodopłynnym głosem bigotki szepnęła do ucha dziewczęciu:

— Cóż, serce moje, zrobiłaś rachunek sumienia, sumienia?

— A wy — zapytała gorzko tamta.

Kobieta skuliła plecy, zanurzyła palce w wodzie święconej, poczem wyciągnęła je ku towarzysce, która musnęła je odruchowo, wstrząsając się lekko od wilgotnego dotknięcia. Nad kropielnicą wisiał obrazek jednej ze stacyj męki Pańskiej: Jezus, modlący się

w Ogrójcu w Getsemani, a obok pogodna scena zbiorowa—urągowisko Judasza.

— Śpieszny — szepnęła dewotka, mamrocząc półgłosem mo litwę—już prawie kończą.

Przy wielkim ołtarzu uroczystość trwała od wczesnego ranka. Głos księdza powtarzał w tej chwili żałobne napomnienie, a chudy palec jego znaczył jedno czoło za drugim, kładąc na nich płamę popiołu dla skruszenia pychy i grzechu.

Memento homo qui pulvis es. Concettella, klezcząca między kumą Łucją a jakąś zastrachaną dziewczynką, w oczekiwaniu swojej kolei, czuła jak groźne napomnienie huczy jej w mózgu, jak nakazuje wyrzeczenie się bez litości, jak grozi męką wieczystą.

Kiedy starzec zatrzymał się przed nią ze wznieścionym ku jej czołu chudym palcem, Concettella całą osobą swoją poddała się upokarzającemu obrządkowi, opadając na stopnie ołtarza; myśl jej wszelako była nieobecna, nieprzekonana, niemal buntownicza. Czemuż ksiądz bez zadrżenia znaczył wszystkie, jedno po drugim czoła, najpierw kobiety po lewej ręce, potem jej, kędy pod błądzą wicherzyła się myśl o grzechu, a potem niewinnego, załknionego stworzenia?

Na stopniach ołtarza pozostały ostatnie ze wszystkich: kuma Łucja, popisująca się skruchą, porwana trwożnym zachwyceniem dziewczynka i Concettellai świadoma wielkiej porażki.

„Pomnij człowiecze, że prochem jesteś... Zatem jeśli taki jest nieunikniony koniec, — cztery deski sosnowe i kilka grudek ziemi, to czyliż życie zasługuje, aby je rzeczywiście przeżywać? Czyż warto wegetować, jak chudy chwast mięty w okienku, smagany wiatrem, zasypywany kurzem, szarzejący w politej grubej doniczce?”

Lepiej umrzeć, umrzeć natychmiast, tego samego dnia, w tej samej chwili!”

Concettella tkala nieutulenie, z twarzą w dłoniach, oddana całkowicie zawrotnemu nurtowi, i daremnie czepiając się zbawczej myśli o śmierci.

—Serce moje, patrz na ciebie—szepnęła megera.

Nieszczęsna podniosła napół przytożne oczy, i spojrzenie jej padło na dwa piętna popiołu na obu czołach bliskich siebie, a tak niepodobnych.

Czemu Bóg nie spieszy z pomocą?

Wyszły. Niebo było ołowiane, z pomiędzy domostw przeglądało morze, podobnie jak chmury, jednostajne i sine.

Przemówiła pierwsza kuma Łucja, zerkając ukradkiem z pod spuszczonej powiek:

— Płakać — nigdy, córeczko. Brzydnie się od płaczu.

Concettella naciągnęła mimowolnie welonik na twarz i przyspieszyła kroku. Kobieta uśmiechnęła się dobrodusznie. Nie było nic groźniejszego nad ten uśmiech, pełen tkliwej troskliwości.

Czegoż bo pragnęła, jeśli nie szczęścia Concettelli, dziecka, które trzymała do bierzmowania, i które było jej oczkiem w głowie? Na coś ma się przecie serce, a ona czuła, jak jej serce pęka na widok stworzenia, zamkniętego na całe życie w czterech ścianach i marnującego zdrowie nad tamborkie n. Wyjść za mąż? Za kogoś z równych sobie, ona, która była wielką panią, a potem co? Podwójna robota, i niewola, i dzieci, jeśli już, powiedzmy, uda się jej nawet nie pójść do służby z temi rączkami, stworzonymi do noszenia pierścieni... Kto wie, może i dziś w kościele stara szepnęła swemu Bogu w tajemnicy podobne zwierzenia, dostateczne w jej mniemaniu, aby ją rozprzeszyć. A teraz, w zgodzie z sunieniem, śpieszyła ku domowi, zaciskając spokojnie oczka sieci i pogodną żrenicą patrząc na Concettellę, która trzepotała się, już usidloną. Czuła dla samej siebie rozrzewniające pobłażanie, a na tle uspokojonego su-

mienia jej wrodzona chciwość mogła się panoszyć bez najmniejszego skrupułu.

Ale na czole dziewczęcia, zakrytem całkowicie namitką, wzbierał gniew; blada twarz, ocieniona woalem miała wyraz nieubłagany. Gdy się odezwała, mówiła jak wróg.

— Kumo Łucjo, muszę zapytać was o coś. Nie zaprzeczajcie, bo to napróżno. Znam was już dzisiaj, wystarczyło mi was widzieć wczoraj wieczorem.

Otrząsnęła się i ciągnęła dalej wzburzonym głosem.

— Zrujnowaliście nas, kum Łukasz i wy, wiem o tem,— już dosyć dawno, jak wiem. Ojcu nie wspominałam nic i wam wybaczyłam, sądząc, że to wszystko robota kuma, do was miałam jeszcze zaufanie.

Kobieta milczała, poblądła. Concettella, nie patrząc na nią, mówiła dalej:

— Trzymaliście mnie z litości w domu, który był moim domem, wyuczylście mię rzemiosła, któremu nie mogły już podobać wasze oczy. Mniejsza o to, całowałam was jeszcze po rękach. Co wam zrobiłam, powiedzcie, że traktujecie mię w taki sposób? Jużeście mię zgubili, już jestem zgubiona, o Jezu, Jezul

Dziewczyna mówiła zniżonym głosem, przybita żalobnym obrzedem i drżąca od tłumionych westchnień, które wstrząsały całą jej postacią. Rozdrażniona mnóstwem zgryzot, kamieniem leżących jej na duszy, niepohamowana w pragnieniach i niepohamowana w skrusze, znajdowała w tych gorzkich wyrzuchach ujście dla niesmaku i dla cierpienia.

— Tak to mi się wywdzięczasz, córeczko? — patetycznie przerwała jej stara.

I znowu skuliła się pod gradem namiętych oskarżeń.

— Nie kłamcie, miejcie przynajmniej odwagę,

mówcie prawdę, co wam zrobiłam? za co mnie nie-
nawidzicie?

— Już ci nic powiem — westchnęła stara z re-
zygnacją szlachetnej duszy nieocenionej.

Concettella urwała z miejsca, wbiwszy jej
w twarz roziskrzzone oczy:

— Kumo nie udawajcie ofiary. — I wykonał
gest groźby, natychmiast opanowany.

Minęły dwie kobiety, otulone w chustki. Kuma
Łucja zamilkła.

— Jak ty do mnie mówisz, jak ty mówisz? —
jęknęła płacząc, gdy kobiety były już dość daleko.
Zwarła z całej siły powieki, by z nich wydusić dwie
łezki, gwałtowny oddech miał sprowadzić atak astmy.
— Z moją chorobą — zabijasz mnie.

Concettella wzruszyła ramionami.

— Powiedzcie mi wszystko.

— Wszystko? Kobieta zdawała się nie rozumieć.

— Tak, waszą rozmowę wczorajszą. Chcę ją
znać. Chcę, rozumiecie?

— Serdeńko moje, to nie było nic a nic —
usiłowała jęknąć tłściocha, zaskoczona znienacka.
Pragnęła zyskać trochę czasu, aby obmyśleć plan
obrony, a nie znajdowała jeszcze żadnej kombinacji.

Gdy jednak Concettella nalegała, pełna wzdargi
dla tej pozy obrażonej niewinności, chwyciła się
jakiegokolwiek deski zbawienia, i wyskoczyła z pierw-
szym lepszym pomysłem, który jej strzelił do głowy.

— Tak to, mi się odplacasz — zaczęła znowu
cicho i płacząc — za to, że pragnę twojego szczę-
ścia! Taki szlachetny chłopiec, Bóg wie co zrobiłby dla
ciebie, chociaż ty dla niego jesteś obojętna. A on
może nawet myśleć o małżeństwie...

Zniżyła jeszcze bardziej głos, uderzywszy dla
rzucenia tych przypuszczeń, w dyskretny ton, który
faktycznie nadawał im pozory prawdy. Uśmiechnęła
się przy tych słowach chytrze i fałszywie, aż oczy

schowały jej się zupełnie w tłustych fałdach powiek.

— Wiem ja jeszcze nie jedno, ho, ho, ale nie
chcę i nie mogę zdradzić — zdawał się mówić ten
uśmiech stręczycielki.

Concettella, zbита z tropu, umilkła na chwilę,
Wędrowny kupiec, mijając się z niemi, częstował je
szpilkami.

Nie mogli się porozumieć co do ceny.

Kupiec oddalił się w stronę Torre, kuma Łucja,
po pomyślnej dla siebie pauzie, nawiązała na nowo
prerwaną rozmowę.

— Serce moje, wybaczam ci, ponieważ nie masz
jeszcze doświadczenia i nie rozumiesz się na wielu
rzeczach. Co zaś do znęcania się nademną to, moja
ty śliczna, daj mi czynić, co uważam za wskazane,
pozwól starej kumie, która zna życie...

Dziewczyna przerwała jej gwałtownie:

— Opowiadajcie to innym, nie mnie, kumo
Łucjo. Macie mię za głupią, bo jestem córką tego
biedaka któregoście podchodzili na wszystkie spo-
soby.

Stara, zgnębiona, zapadła znowu w pełną rezy-
gnacji pokorę. Concettella zmieniła głos:

— Lubi mię, powiadacie?

— O i jak lubi, i jak lubi, — zapewniała tłus-
ciocha skruszona.

Znowu pauza. Słychać ciężki oddech dziewczyny.

— Tylko o tem mówił mi wczoraj wieczorem,
tylko o tem — poważyła się wyrecytować stara, ośmie-
lona milczeniem.

I dodała uroczyście.

— Przysięgam ci na Madonnę Pompejańską.

— Cicho! krzyknęła dziewczyna wzburzona —
Niema już Madonny, jeśli wy się do niej modlicie.

— Oh Cuncettè! — záchnęła się bigotka z prze-
rażeniem.

Młoda przyspieszyła kroku.

Zbliżyły się do gromadki głośno rozprawiających mężczyzn. Potem minęli je inni przechodnie. Jakaś kobieta zatrzymała kumę Lucję i przez chwilę rozmawiały półgłosem. Kilka słów dobiegło do uszu Concettelli. Kiedy oddalała się pragnąc jak najprędzej znaleźć się w domu: — Zastaw weksel...

Skronie tętniły jej aż do bólu, daremnie usiłowała skupić myśl na jakimś określonym przedmiocie, lub zebrać całą moc duszy, aby wskrziesić słowa rozmowy. Napróżno; mózg miała jak rozpalony, pamiętała tylko, że mówiła rzeczy gorzkie i namiętne, i że usłyszała zdania, które jej sprawiły bezmiar radości i bezmiar bólu. Weszła do domu, chwiejąc się, wbiegła na swoją facjatkę, i rzuciła się twarzą na łóżko, bez lez, cała drżąca.

* * *

W chwilę później zapukał do drzwi Rafael, a nie otrzyawszy odpowiedzi, wszedł, nieśmiały jak zawsze, i lekko uśmiechnięty.

— Jezus Marja! — krzyknął wystraszony — jeszcze płaczesz?

Concettella uniosła się na łóżku, napół przytomna.

Bładość jej przechodziła w torń nieledwie woskowy, usta były poprostu białe.

— Ohi! — szepnęła, zwracając zdumione oczy.

Ojciec trzymał w ręku, z pełną szacunku troskliwością, wiązanek kwiatów, bardzo skromnych: garść narcyzów, złączonych z gałązką mimozy.

— Kto to przysłał?

— Nic nie wiem — odpowiedział niewinny człowieczek bez zbytniego zadziwienia. — Oddał mi to chłopiec z Castellammare. Powiedział, że ty wiesz.

Concetta wyciągnęła rękę, wahająca.

— Z Castellammare?

Stary kiwnął głową twierdząco i dodał ze szczyptą lęku, podnosząc ku dziewczęciu pytające oczy:

— I wiesz, Concettella? Pomyślałem, że ci to zrobi przyjemność, więc dałem mu dwa sody.

Dziewczyna w najwyższym stopniu zmieszana, obracała w palcach tajemniczą wiązanek.

Serce podszeptowało imię, przeciw któremu buntował się rozum. Zresztą kto mógł być przysłać te kwiaty, nie warte więcej niż pół lira, a które jednak, w skromności swojej, zdawały się wyrażać coś bardzo miłego. Narcyzów i mimoz kwitła teraz, w końcu lutego, moc we wszystkich ogrodach nabrzeża, a świeża wiązanek była tak pierwotna, że wyglądała jakby wyszła tylko co z rąk nieprawnych, ale broń Boże nie gminnych.

Serce miewa przecucia. Immacolata Conceziona ujrzała myślą, nieledwie tak wyraźnie jak oczyma, pięknego swego blondynka, który w chwili roztkliwienia, chodząc alejami ogrodowymi „Willi Minny”, nachyla się i zrywa z grządek to proste kwiecie, przeznaczone, nie aby niedelikatnym przepychem upokorzyć ubogą dziewczynę, ale, aby ślicznej i godnej kwiatnych hołdów istocie złożyć nieśmiałe słowa życzliwości. W nagłym porywie namiętności podniosła wiązanek do twarzy, zatapiając w niej usta.

Rafael uspokojony co do napiwka, rozplątał się nad jej promiennym wyrazem.

— Czy jesteś zadowolona teraz? — zapytał, byle pytać, nie mając najlżejszego pojęcia, dla czego by właściwie córka miała być zadowolona. Odpowiedziała twierdząco, z uśmiechem, który rozświetlił jej twarz.

— W takim razie możesz pójść ze mną na chwilę?

Concettella uwiesiła się pieśczośliwie jego ramienia i udali się we dwoje obejrzyć ziemniaki, które Rafael spróbował przyrządzić w jakiś nowy sposób. Niestety nie zdołał pozyskać uznania córki, bo potrawa spaliła się przez czas przydługiej jego nieobecności.

Ale i ten wypadek go nie zwarzył; namyślał się teraz jedynie, jakie wynaleźć najgodniejsze naczynie dla narcyzów. Poczem ojciec i córka pocałowali się, wielce wzruszeni, i zasiedli w milczeniu do obiadu, a kiedy w chwilę później Concettella schodziła do gospodyni na zwykłą swoją robotę, człowieczek czuł się szczęśliwy jak nigdy.

Na dobitkę ten pierwszy dzień postu był dla niego dniem święta, zupełnej swobody i próżniaczego waleśania się po wybrzeżu, bez osławionego klarnetu, we dwójkę z Sciosciammocą, dla którego najwyższą rozkoszą było tarzanie się w piasku. Gdyby tak mógł był jeszcze zabrać ze sobą *maleńką* i poprowadzić na niekończącą się nigdy włóczęgę, sam na sam po okraju drogiego morza! Starowina uśmiechnął się do własnego marzenia, jak za chwilę miał się uśmiechnąć do błękitnego żywiołu, a tymczasem zmywał pospiesznie statki, nucąc ulubioną swoją piosenkę:

Si vuò venì cu mme mieze 'a lu mare

Przed wyjściem zajrzał jeszcze na chwilę na pierwsze piętro, do pokoju, gdzie Concettella siadywała po całych dniach z tamborkiem na kolanach. Za czasów Rusinelli był to pokój państwa, latem wynajmowano go ubogim kąpielowiczom, a zimą, jeśli się udało, jakiemu cudzoziemcowi, nieprzyjacielowi hotelów. Nagodziło się ich niemało, a Rafael roztkliwiał się na wspomnienie roku, kiedy pokoiik, skromnie umeblowany, ale świecący poprostu ochędostwem, za szczycony był obecnością jakiejś egzotycznej osobistości, przedmiotu najdziwaczniejszych dociekań sąsiadów.

Był między innymi i malarz, wysmukły i bładzi młodzieniec, który zakochał się w miasteczku i nie myślał wcale odjeżdżać. Na wszystkich swoich płótnach umieszczał Rusinellę, a na wyjezdnych, oprócz zegara, zostawił portret urodzivej gospodyni i kraj obraz morski z „Immacolata Concezione”. Na widok

tych drogich pamiątek w rękach kuma Łukasza biednemu człowiekowi krajało się serce.

— Idę—rzekł do córki, uśmiechając się znacząco, jakgdyby zamyślał coś bardzo ważnego.

— Dobrej zabawy, ojczu — odparła melancholijnie.

Wystarczyło jej przestąpić próg mieszkania, którego nigdy była panią, aby na nowo dumą jej cierpiała. Po rannej scenie ze starą, piekły ją policzki na samą myśl spotkania. Niemniej trzeba było pochylić głowę, bieda wisiała na karku; od trzech miesięcy zalegli w komornym kumowi Łukaszwowi, a z koronkami opętana była praca. Panie nie były nigdy zadowolone, żądały kunsztownych deseni, a chociaż pilily wiecznie o prędkie oddanie roboty, nie kwapiły się nigdy z zapłatą.

— Et, nędza—westchnęła dziś po raz wtóry.

Od nieplaconych rachunków przebiegła myślą do pani Meyerowej, która zawsze uiszczała się odrazu, a od matki do syna. I zaczęła marzyć o swej wiązance narcyzów, splecionych z paroma kiściami mimozy, i o tem, że Fryderyk Meyer polecił kwiatom, aby mówiły jej o nim.

Weszła kuma Łucja, na palcach, jak miała zwyczaj. Na czerwonej twarzy nie było śladu urazy.

— Już przy robocie, moje serce?

Głos był wesoły i szczerzy.

Concettella nie wierzyła własnym uszom. Odrzekła wahająco:

— Trzeba skonczyć tę falbanę do niedzieli

Kuma Łucja pochyliła się nad robotą. Cieniutka koronka w stylu staro-francuskim tkwiła już na tamborku od dwu miesięcy.

— Kiedy zaczęłaś? — zapytała, udając, że nie pamięta.

— Zaraz po Bożem Narodzeniu.

— A prawda, zaraz po tym starożytnym galo-

nie dla pani Meyerowej—rzuciła jakby od niechcienia.

I spojrziała z pod grubych powiek, jakie też wrażenie sprawi to nazwisko, wymówione niby to mimochodem. Concettella czuła, że groziło, — nie drgnęła.

— Jeszcze nadąsana na mnie? zapytała kobieta przyjaźnie.

Dziewczyna podniosła oczy, przesłonięte nieznanym dotąd wyrazem słodyczy.

Cały gniew rozwiął się wobec drobnej wiązanki kwiecia. Czuła w sercu dziwne omdlenie, które czyniło ją słabą, słabiutką, i bezbronną wobec wszelkiego zamaskowanego dobrocią podstęp. Zmieszana, niepewna, czy w oskarżeniach swoich nie okazała się niesprawiedliwą, wyjąkała:

— To wy powinniście się gniewać...

Kuma Łucja zdobyła się na gest wielkoduszności:

— Co też ty mówisz? wiesz, że pragnę twego dobra, jakbym ci była matką.

Concettella spojrziała na nią, chwiejna jeszcze, ale i wdzięczna zarazem, bliska nie, ohimowanego płaczu, i nie świadoma sama, czy chce się jej płakać wskutek spełnienia się marzeń, czy w przeczuciu czyhającego nieszczęścia. I każde inne serce, nie obrosłe tak tuszczem fałszu i samolubstwa, wzruszyłoby się na widok tej bezbronnej młodości.

Kuma Łucja przetarła dłonią podbródek, jak czyniła w chwilach wewnętrznego zadowolenia, i chyt-rze zmieniła rozmowę.

— Wczoraj siedziałas długo w noc, musisz być zmęczona. Czy nie poszłabyś się trochę przejść ze mną, ślicznotko?

— Mam pilną robotę—odparła Concettella.

— Ważniejsze są od roboty twoje ślepki. Boże mój, jakie czerwone! Biedne, słodkie oczęta!

Zbyt wiele dobroci w słowach starej. Kuma Łucja widomie przeciągnęła strunę i Concettella znowu nabrała podejrzenia.

— Nie pójdę — rzekła stanowczo.

— Przejdziemy parę kroków wolniutko szosą castellamarską — nalegała stara kusząco.

— Jeżeli tak, to tembardziej nie — odbiła sucho Concettella.

Kobieta pokiwała głową z pobłażaniem, jak na kaprysy dziecięce.

— Do widzenia, serdeńko, pracuj z powodzeniem.

Od progu odwróciła się jeszcze z przyjacielskim gestem, a w błyszczących jej oczach i mocno sponsowiałej twarzy było coś, co bezwarunkowo wskazywało Concettelli niezwykle wzruszenie kumy.

— Widać jednak nie czuje do mnie nienawiści. Każdy ma swój właściwy sposób myślenia. Ona tak patrzy na rzeczy.....

Zamyśliła się, z rękoma bezwładnie opadłemi na tamborek, i z niemem pytaniem, jak też patrzy na rzeczy ona, Concettella. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Dziewczyna westchnęła głęboko i wy-rzekła się na dzisiaj możliwości zorientowania się we własnem sercu.

Pracowała może z godzinę, przebierając szybko zwinne paluszkami i kołyszając się snem bez wydarzeń i bez przebudzeń, kiedy ocknęło ją stukanie do drzwi. Podniosła się odruchowo i zbiegła z kilku schodków, by otworzyć.

Na tle jasności, wpadającej przez otwarte drzwi, zarysowała się wysmukła postać Fryderyka Meyera. Concettella miała szaloną ochotę zatrzasać mu drzwi przed nosem, i zaszyć się w najciemniejszy kąt poddasza, sama ze swoją rozpaczą. Opanowała się jed-

nak i czekała, obróciwszy pytające spojrzenie na twarz młodego człowieka.

Zmieszany (—bo kuma Łucja zapowiedziała mu, że dziewczyna go czeka, i zostawiła go na środku drogi ze znaczącym westchnieniem: — Ubóstwia pana, biedny aniołek!—) Meyer zapomniał teraz pretekstu, który podsunęła mu koronkarka. Skłonił się, zdejmując kapelusz, i stał przed zeszytniałą Concettellą jak przed jakąś damą.

— Pani wybaczy—zaczął niepewnym głosem— chciałem się widzieć z gospodynią. Nie, — poprawił się pośpiesznie na jej ruch przeczący— chciałem się widzieć właśnie z panią. To sprawunek mojej matki. Idzie o galon.

Plątał się, nienawykły kłamać. Aż naraz przyszło natchnienie. Podniósł ku twarzy zakochanej dwoje oczu turkusowych, których źrenice były jeszcze dziecięco czyste. Nie umiała oprzeć się temu wejrzeniu, nigdy jeszcze nie widziała go tak błękitnym i tak bliskim.

— Pan pozwoli—szepnęła.

I poszła pierwsza schodami.

Fryderyk Meyer, ośmielony, wyjaśnił powód swoich odwiedzin. Kuma Łucja wspominała mu o jakiejś koronce, którą robiły na wzór starego galonu francuskiego. Chciałby właśnie matce zrobić podarunek z przybrania do szlafroczka: falbanę, szeroki wykładany kołnierz i mankieciki. Opisywał to wszystko, okazując się wielce wytrawnym w dziedzinie strojów niewieścich.

Concettella milczała, kołysana melodją jego głosu, który jak jego oczy, miał w sobie dziecięcą miękkość i pieśczołliwość.

Poprosił o pokazanie mu roboty. Rozpięła rolkę, zwisającą na waku i zawiniętą w welinowy papier, poczem przerzuciła sobie delikatną siateczkę przez ramię, chcąc ją uwydatnić dokładniej na czarnem tle

rękawa. Fryderyk Meyer nachylił się nad białym pasmem. Jasna czupryna jego zdawała się czekać na pieśczołotę dłoni kobiecych, i Concettella, jak wpięrowo żądzą ucieczki, tak teraz czuła się opanowana szalonym pragnieniem ujęcia rękoma tej drogiej głowy i przycisnięcia jej sobie do piersi.

Jednocześnie tłumaczyła z największym spokojem:

— ...tu jest dziewięć metrów na podwójną falbanę; dla pani wystarczy pięć. Kołnierz wykładany zrobimy tym samym sposobem, tak żeby zęby wypadły na ramionach.

— Ile czasu potrzebowałyby pani na to? — zapytał Fryderyk Meyer z przejęciem, jakgdyby przywiązywał ogromną wagę do odpowiedzi!

Concettella pomyślała chwilę.

— Mam teraz inne rzeczy w robocie, a wszystko na zamówienie. Mogłabym oddać na Wielkanoc.

— Wpadnę parę razy zobaczyć — odezwał się niemal błagalnie,

Concettella milczała.

— Dlaczego właściwie nie miałyby pani zrobić podwójnej falbany i dla matki?—zapytał znowu.

— W takim razie nie przed świętami. To bardzo pracowite... — tłumaczyła się dziewczyna.

— Co do mnie, może jej pani wogóle nie kończyć,— wyznał niewinnie młody człowiek—byłoby mi pani tylko pozwoliła zajrzeć od czasu do czasu.

Tyle wlań zapału w te zuchwale słowa, i uśmiechnął się tak czarującym uśmiechem rozpieszczonego dzieciaka, że Concettella i tym razem nie miała siły zabronić.

— Jaki pan dziwny — szepnęła z niewyraźnym uśmiechem.

— Kocham panią — odpowiedział na to z przekonaniem.

Poczem rozejrzał się ciekawie dokoła.

— Tutaj pani pracuje?

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, której już odtąd nie będzie potrzebował przebiegać nadaremnie.

— Czy widziała mnie pani, kiedy tu jeździł?

Pytanie było naiwne. Concettella uśmiechnęła się znowu. Widziany teraz zbliżona, jasnowłosa Fryc nie budził już w niej lęku. Stała przed nim jak równa przed równym, bez zawstydzenia, gotowa uśmiechać się z pobłażaniem na jego dzieciannady, sama pełna niedbałego wdzięku, który właśnie nadawał tyle pańskości jej ruchom.

Fryderyk Meyer kręcił się po skromnie umeblowanym pokoju, szczęśliwy, że znalazł się obok tej cudnej istoty, która opanowała go, nie zdając sobie z tego sprawy, i odkrywał we własnej duszy dziwną skłonność do prostoty, zamilowania nieledwie wieśniaczki—przez zwykłe prawo dziedziczności. Bo czyż dziadek jego nie był prostym chłopakiem w browarze berlińskim, zanim został wielkim przemysłowcem, swojego rodzaju księciem w dziedzinie złotego napoju niemieckiego?

Fryc pamiętał jeszcze staruszkę prababkę, która nie chciała nigdy rozstać się z domkiem nad Renem, z prostym życiem i chłopskim strojem. I babka była tego samego pokroju, skrętna, zadomowiona Niemka, która pozwalała, by konie zapasyły się w stajni, a sama biegła piechotką po sprawunki. Wystawny tryb życia i sztywną etykietę wprowadziła dopiero jego matka, wyniosła Minna Meyer, i po niej to właśnie Fryc odziedziczył wytworną elegancję.

Młody człowiek, odchodząc od okna, przystanął przed obrazami, które wisały na ścianach, w popo-
litych czarnych ramach ze złotą listwą. Zauważył, że nie były byle jakie, i zachodził w głowę, w jaki żywy sposób mogły się tu dostać. Kiedy naraz odcyfrowawszy podpis, wykrzyknął z niekłamanym zdumieniem:

— V. Suarez!!! To ten sławny Suarez?—dorzucił.

Immacolata Concezione wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Wiszą już tyle lat. To była nasza łódka, a to jest moja matka. Malował to wszystko jeden pan, nasz lokator, kiedy jeszcze nie byliśmy biedni.

W głosie jej przebijała dumą, jaką mają często podupadli członkowie wielkich rodów, gdy rozmawiają o swoich herbach.

— V. Suarez, Vincenzo Suarez, — tak, to nie może być nikt inny—powtarzał młody człowiek z zadziwieniem.

— Ileż to lat temu?

— Na rok przed moim urodzeniem—odrzekła Concettella—a ja kończę osiemnaście w maju.

Wtedy Fryc zapomniał o malarzu i zaczął się roz-
pływać nad osiemnastoma latami swojej piękności. Ujął ją za rękę i pociągnął delikatnie ku jednemu z obrazów, żeby zobaczyć, czy jest podobna do matki. Nie, nic a nic nie podobna. I do ojca także nie. Jakim sposobem jest taka cudowna? Pytając o te rzeczy bez znaczenia, miał tyle niewysłowionej słodyczy w spojrzeniu, że Concettella doznawała zawrotu, uczucia nieznanego, niemal, że bolesnej rozkoszy. Czy ktobądź kiedykolwiek patrzył tak na nią? Nie ojciec chyba, nieśmiały, cichy człowieczek, z wyrazem wiecznego załęknienia w oczach, który jedynie w myśli otaczał ją najwyższem ubóstwieniem.

Pięściwy głos mówił dalej:

— Dlaczego nie patrzy pani na mnie?

Opędzając się przemocą urokowi, Concettella podniosła oczy na portret matki i patrzyła nań rozmarzona.

— Tak, to prawda, nie jestem do niej podobna. Do kogo ja właściwie jestem podobna? — westchnęła, przesuwając dłonią po czole i otwierając szeroko oczy, jak gdyby lękała się przebudzenia.— A teraz niech pan już odejdzie, proszę.

— Concetta...—zawołał porywczo, chwytając obie jej ręce i ściskając gorączkowo w swoich.

Ale tego dnia już nie mogła dowiedzieć się dziewczyna, co chciał jej powiedzieć Fryderyk Meyer tym namiętnym wybuchem, gdyż drzwi uchyliły się i w ich ramie ukazała się nieśmiała figurka człowieczka, który uśmiechał się i rozglądał dokoła, olśniony i zastydzony widokiem gościa.

— Mój ojciec — rzekła Concettella, odsuwając się lekko od towarzysza.

Wędrowny grajek zdjął kapelusze pełnym czci ruchem i odsłonił siwe włosy, które dodały nieco dostojeństwa niepoczesnej, prawie że ułomnej postaci. I zupełnie bezwiednie Rafael rozprostował skurczone ramiona, uśmiechając się najpiękniejszym ze wszystkich, uśmiechem rodzicielskiej dumy.

— Ah...—zdołał zaledwie wykrzynać młodzieńiec, zaskoczony.

Sklonił głowę, rumieniąc się lekko, poczem zwrócił się jeszcze do dziewczęcia:

— Zatem polecam pani tę robotę.

— Na Wielkanoc niezawodnie — zapewniła Concetta, która zdołała już była przyjść do siebie.

— Wybaczcie.—Zdawało się, że Fryderyk Meyer chciał jeszcze coś powiedzieć staremu. Powstrzymał się, powiedział poprostu: „dowidzenia, zamierzał dodać: „dobry człowieku”. ale jeszcze raz zmienił myśl, i stał niepewny, niby w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Rafael — odpowiedział człowieczek, jakgdyby odgadując pytanie.

— Zatem do widzenia, Rafaelu — powtórzył Fryc, rozpogodzony, i wyszedł, a za nim Concettella, pozostawiając starca, pogrążonego w niebiańskim widzeniu.

III.

Kwiecień.

Droga, która od złomisk Pompei wiedzie do Cudownej Kaplicy, ujęta w dwa rzędy młodziutkich drzewek, wiosennym świeżym rankiem szli powoli Rafael z Sciosciammocą, ścigając, każdy, bieg własnych myśli; psina, poważna, węszyła z przejęciem grunt, człowieczek skulił się w sobie, z głową opuszczoną na piersi, jak w chwilach głębokiej rozterki.

Była może dziewiąta. Z pośród ubogich mieszkańców okolicznych, którzy zwykli byli słuchać pierwszej mszy w cudownej kaplicy, nie było w tej chwili widać nikogo. Z Neapolu nie zdążyły jeszcze nadpłynąć dorożki z turystami, a pociąg wysypał już był na małych stacyjkach pompejańskich swój bagaż ludzki, który rozproszył się natychmiast, wchodząc do kościoła, lub dążąc do wykopalisk. Droga była niema pusta, i prócz świego tu wróbla i szmeru liści, poruszanych od czasu do czasu delikatnym powiewem, najlżejszy szelest nie mącił głębokiej ciszy wiejskiej.

Rafael przysłonił oczy dłonią, i spojrzał w górę na niebo, nie ścienne obłokiem. Był snąc zadowolony z wyniku badania, i zaraz zwierzył radość Sciosciammocce.

— Dzień, jakich już dziś wogóle nie bywa. Zda się, że nareszcie zaczniemy robić dobre interesy, Sciosciammocca.

Pogoda w czasie postu była rozpacziwa. Niebo, ustawicznie gniewne, raczyło potokami deszczów wszy-

stkich cudzoziemców, przybyłych z zamiarem zachwy-
cania się naturą. Niejeden syn Albionu, odbywszy
pielgrzymkę dla złożenia hołdu boskiemu błękitowi
Italji, wracał ze zlorzeczeniami do zadymionego Lon-
dynu, gotów wypisać całe tomy dla wyplenienia za-
korzenionych przesądów i odsłonięcia ludziom prze-
wrotności rasy włoskiej. Nie godzili się z nim wy-
probowani przyjaciele Neapolu, którzy znają różne
dziwactwa wybrzeża i kaprysy, i czekają cierpliwie
zadośćuczynienia w jego niebiańskim uśmiechu.

Tak więc Rafael, który oceniał pogodę poprzez
kłopoty swojego zawodu, nie zrobił tego roku wiel-
kiej kariery w marcu, zazwyczaj bardzo dla siebie
korzystnym.

Po skończonych uciechach zapustnych przez cały
czas martwego postu, wędrownym grajkom pozosta-
ją, jako jedyna publiczność, cudzoziemcy. I na szczę-
ście gościńce Resiny, Torre, Castellammare roją się
wtedy od przybyszów; jedni ciekawi są ujrzeć z bli-
ska ziejącą strachem paszczę Wezuwjusza, innych
pociąga czar dziejowych rozwalisk, jeszcze inni wale-
sają się poprostu po uroczych nadmorskich zakątkach.

— Ani obłoczka — powtórzył promieniejący
człowieczek. — Dziś, Sciosciamocca, cały, Neapol
tutaj przyleci.

Na dobitkę był czwartek, dzień wolnego wstępu
do wykopalisk. Człowieczek, wniebowzięty, przewie-
sił sobie wstążkę gitary przez ramię, i zainotował
tegoroczną piosenkę, której raz po raz od niego ża-
dano, a której ani rusz nie mógł się nauczyć.

Oparł się plecami o drzewo i podśpiewywał zła-
manym głosikiem, atakując zawsze nieczysto wysokie
nuty i powtarzając cierpliwie zasadniczy motyw, aż
do miejsca, gdzie ku dziecięcej uciechu, mógł się
rozśpiewać na niskich basowych tonach. Między jed-
ną zwrotką a drugą przystawał i spoglądał na pieszka,
który rozsiadł się na przeciwko niego:

— Eh?

Ten nieokreślony dźwięk miał oznaczać, że wy-
konawca rozumie doskonale utwór i uwypukla nale-
życie całą figlarną jego treść.

— Jacy my szczęśliwy, co, Sciasciamocca?
Przedewszystkiem świeci nam słońce i będzie teraz
świeciło przez cały miesiąc. Powrócą goście, a że
już doskonale umiemy tę piosenkę, zarobimy sobie
moc soldów. Już nie będziemy teraz marzli, po dro-
gach, z chmurami nad głową i nogami w kałuży,

Ale to nie wszystko jeszcze. Ktoż to nas cze-
ka w domu?

Concettella nasza, która jeszcze wypiękniała
a jest jeszcze bardziej kochana niż piękna, i ciągle
nas pieści, i mówi takie rzeczy, od których chce się
śmiać i płakać.

Chociażby wczoraj, co to nam powiedziała?
— Ojczy, czy będziesz mię zawsze kochał, cokolwiek-
bądź się stanie? — I rozplakała się.

Co za anioł dziewczyna i co za pytańcel

Czy będziemy ją zawsze kochali, Sciosciammò?

Choćby przyszło skonać, byle ona była szczęśli-
wa. Ale ona teraz szczęśliwa, wiesz? Bo panicz za-
chodzi codziennie, i nawet kwiaty, wtenczas, to on
prysłał. Teraz przysłał bezustannie, bo kocha Con-
cettellę, to także takie piękne i dobre, jak przygody
świętego Januarego w raj. Kuma ciągle tylko po-
wtarza, że to jak historia z książki, bo gdzieby tam
panowie żenili się z ubogimi dziewczętami? I ona
też poczcziwa, ta nasza kuma. A kum Łukasz powiada:
Boska to wola, bracie, to i Bóg ich połączy. A kum
się na tem rozumie. Widzisz, że wszyscy są poczczi-
wi, i wszyscy dobrze nam życzą. Świat jest wielki
i piękny, a my na nim szczęśliwi, Sciosciammò.

Eh?

Piesek nie odczuł prawdopodobnie, ile zadziwia-
jącej ekspresji mieściło się w długiej pauzie, która

nastąpił po tym pokrzyku, niemniej szczerą radością i otępieniem byli tryumfujący, i pan i powiernik.

Ponieważ świat jest tak piękny, a ludzie na nim tacy poczciwi, zatem Rafaelowi, zbrojnemu już dziś w ową sławną piosenkę, za którą spodziewał się soki i oklasków, nie pozostawało nic innego, jak umieścić się w sąsiedztwie bramy wykopalisk, i czekać na słuchaczy. Bo jakkolwiek świat taki piękny, niemniej zawsze trzeba było jeść, zagadnienie, które dzisiaj stało się niełatwym, ponieważ Concettella zajęta odwiecznym swoim galonem, musiała zaniedbać inne zamówienia. Panicz wprawdzie obiecywał w imieniu matki zaliczkę, ale Concettella odmawiała systematycznie, i staruszek odgadł, jak mniemał, że córka postanowiła odnieść osobiście skończoną już robotę, dać się poznać bogaczce, i kto wie? — może ją wzruszyć...

Kuma Łucja wyznała to Rafaelowi w głębokiej tajemnicy. Były olbrzymie trudności. Panicz, to pewna, był zakochany, a zakochani, jak wiadomo, żenią się. Należało postępować ostrożnie. A on, Rafael, czy aby, broń Boże, nie mówił, lub nie ma zamiaru mówić z kim o tem, co? A przedewszystkiem z samą Concettellą? Dziwnie ciekawa jest ta dziewczyna. Niech Bóg uchwali, co za chciwa głowa. Gotowa zrobić mu przytem scenę, jeśli tylko piśnie.

To też starowina strzegł się, by nie wypuścić pary z ust, ufał zresztą ślepo i kumowi Łukaszowi, który upewniał go, jako człowiek doświadczony, że te sprawy należą zostawić kobietom:

— One to potrafią zrobić lepiej od samego czarta, drogi kumie, a my jesteśmy w tem do niczego.

Tak więc nieborakowi, mimo że żył w ustawicznym naprężeniu, poza tajemnicze ni naradami z gospodynią, która przeważnie bywała dobrej myśli ale niekiedy, jako osoba nader przezorna widziała piętzące się zawady, nie pozostawało nic innego, jak serdeczne wy-

nurzenia przed wiernym towarzyszem przechadzek i pracy. Ileż to już pociechy przyniosły panu te kochane uszy Sciosciammocchi, to podniesione w chwili pilnego słuchania, to opuszczone, jakgdyby chciały przytakiwać, to poruszające się, wyraźnie na dowód wzruszenia. I dzisiaj także, skłopotany Rafael, drepcąc pustym gościńcem, opowiadał szczegółowo pieskowii, jakie ma troski, wyliczał przed nim wszystkie swoje długi: u piekarza, u węglarza, w sklepiku. Już drugi miesiąc jak zalegli w komornym, ale kum Łukasz, najlepszy przyjaciel, prosił, aby się tem nie przejmowali. Równie wielkoduszna była gospodyni co do jakiegoś dawnego ich zobowiązania.

— Ba, mój Sciosciammò... Nie chcę się poddawać. Niechno by tylko więcej dni, jak dzisiejszy, i niech Concettella raz już skończy ten swój galon. Dość jak dziewczynina pójdzie do tej pani, i jak tamta z nią pomówi... — Przecież powietrze śmiałym gestem, który był szczytem przeświadczenia, zachwytu i naiwności zarazem.

Wszystkie obietnice owej pamiętnej nocy, kiedy tyle przyjaznych twarzy mrugało ku niemu z tańczących w omgle latarni, zwały się w ten gest, a potem w wyzywające i młodzieńcze zadęcie w klarnet. Rafael wypowiadał walkę wszystkim wrogim mocom ziemi i, rzecz prosta, rozgromił je już był wszystkie w chwili, gdy dochodził do hoteliku koło pierwszej stacyjki pompejańskiej.

— Hoho, *masto Rafaè*, cóż to, wygraliście wielki los na loterji, żeście tacy weseli?

Pytanie to rzucił młody chłopak o pospolitej twarzy, swojego czasu towarzysz zabaw Concettelli, obecnie nieszczęśliwy jej wielbiciel, ten sam, który siedział razem z całym towarzystwem w Salone Margherita w ostatni wtorek karnawałowy.

— I jaki los, mój Carluccio! — odpowiedział biedak

roztargniony, przyłapany z nienacka, i niezdolny opanować mimowolnego okrzyku tryumfu.

— Zatem, to prawda?

Chłopak sponował jak rak, od czubka nosa po brzegi uszu. Rafael tymczasem wymyślał sam sobie od idjotów, pełen niepohamowanej wściekłości. Pomimo przestróg kumy Łucji o mało co się nie wygadał, zdrajca własnego gniazda!

Niemąto trudu kosztowało go opanowanie przerażenia, a choć w duszy kajał się w dalszym ciągu, zdołał jednak zamaskować swoją starą, komiczną twarz nieco głupawym uśmiechem.

— Co czy prawda?—zagadnął, urywając z miejsca i udając najwyższe zdumienie.

Chłopak z krańcowo czerwonej przybrał nieco bardziej ludzką barwę:

— Gadają w Torre del Greco, że Concettella romansuje z bogaczem, który ją chce zdradzić — wyrzucił jednym tchem, zwalając wielki kamień z serca.

— He?—bąknął *pazzariello*, z bardzo zręcznym udaniem, kierowany jakimś cudownym instynktem uczucia i spojrzął na Carluccia, jakgdyby wcale nie był w stanie zrozumieć, o co mu idzie.

— Jakto? to wy nic nie wiecie?—zagadnął tamten, iakoś podejrzliwie.

Człowieczek potrząsnął głową, wylupiając oczy.

— Wiedziałem, że jesteście poczciwiec i że różnych rzeczy zupełnie nie rozumiecie—zauważył pełen spótcucia Carluccio.

Masto Rafaè jeszcze w czasach swego dobrobytu miał opinię człowieka niezbyt bystrego, z czym się zresztą nie tajono, nie odmawiając mu natomiast nigdy litościwego miana poczciwej duszy.

Wyrostek, który już miał na ustach wyśpiewać mu bez ogródek wszystko, co jemu samemu leżało na sercu, w ostatniej chwili nie znalazł dość odwagi,

aby maltretować nieszczęsną istotę uśmiechającą się do niego, do pieska, do jasnego dnia kwietniowego z taką dziwnie dziecięcą radością. Poczował się wszakże do obowiązku ostrzeżenia do przed możliwymi zasadzkami, więc doradził mu tonem powagi:

— Nie wiecie nic, ale niemniej miejcie się na baczności. Kuma Łucja to bogobojna kobieta i na niej jednej możecie polegać. Co do Concettelli, pamiętajcie, że jeszcze zawsze jestem ja. Na razie tylko mieszkanie, życie i napiwki. Ale gospogarz mię lubi, tak, że mogę z czasem zostać kucharzem. Rozumiemy się, prawda? Kuma Łucja wie o wszystkim, a Concettella mi sprzyja.

Z pobliskiej kuchni dobiegło przeciągłe wołanie:

— Hoła, Carluccio!

Chłopak porwał się, wołając za osłupiałym starcem:

— Pokłońcie się odemnie Concettellil!

Rafael potarł lewe ucho, co miało oznaczać szczyt zadziwienia.

— Sciosciammó? I ten zakochany w Concettelli? Ktoby się spodziewał? Rzecz prosta, że nieborak nic nie widział własnymi oczami, poza tem co inni kazali mu widzieć.

— Ta dziewczyna, powiadam ci!.. Kto spojrzy, zaraz trup. Żal mi Carluccia, ale...

Porównał w myśli młodego pucułowanego kuchcika z wytwornym paniczem, który zostawiał powozik na ulicy i szedł ku domowi, cały wonny, z bukietem fiołków w butonierce. Czasami Rafael spotykał go w okolicy swego mieszkania, częściej widywał go mknącego w tilbury, lub mijał rano na gościńcu z Castellamare, zawsze pięknego, o każdej porze i w każdej okoliczności, z twarzą benjaminka, stworzoną umyślnie do miłości. Człowieczek z szacunkiem zrywał kapelusz z głowy przed Fryderykiem Meyerem,

który uśmiechał się prawie czule, w gruncie mocno zadowolony, że go nigdy nie zastaje w domu,

Na chwilę przyszło na myśl Rafaelowi, że może dla niego samego byłoby lepiej mieć za zięcia matego Carluccia, który nie wstydziliby się *pazzariella*, a nawet szanowałby go, pamiętając przyjacielskie szturchańce jakie otrzymywał od rybaka w czasach, kiedy wolno mu było jeszcze dokazywać z dziewczynką w ogródku przed domkiem. „Maleńka”, dzięki Madonnie Pompejańskiej poślubiona wielkiemu panu, była dla niego stracona. Dała mu to do zrozumienia kuma, w krótkich rozmowach, które miały pozostać niewiadome dla Concetteki. Nie chciała go, Boże broń obrazić, ale rzecz jasna, że bogaczowi, jak pan Meyer, nie mogło bardzo dogadzać spowinowacenie się z wędrownym grajkiem. Przytem pomyśleć — matka!

To też Rafael, jeżeli pragnął szczęścia własnego dziecka, miał tylko jedno do roboty, trzymać się zdaleka, jak najbardziej zdaleka, zwłaszcza w tej chwili.

— Widzieć zawsze płaczącego się, kogoś takiego jak wy... pojmujecie? Zacniście bardzo, niema co mówić, ale koniec końców nieszczęśliwa istota, no i w dodatku ten przeklęty zawód. Lepiej stać na uboczu w pierwszych czasach i dać do zrozumienia, że nie myślicie ubijać interesów dzięki córce, cóż, czy mam słuszną, Łukaszu?

Kuma Łucja przedstawiała rzecz czarno na białym, a rozumu miała za dwie. Wyganiany biedak potakiwał głową pokornie, choć szloch ścisnął mu krtań. Trzeci uczestnik rozmowy dodawał tonem niezbitym:

— Nieszczęścia nieszczęściami, drogi kumie, ale panowie nie chcą słyszeć o nich. Więc kogo one obłąpią, niech je schowa dla siebie, to najmądrzejsze, co może uczynić.

— Słusznie, — jęknęła ofiara, tłumiąc w sobie łkanie.

— Zatem — napominała dalej tłuściocha, wlepiwszy mu w twarz zielone, pełne magnetycznych pobłysków oczy — weźcie to pod uwagę: macie wychodzić z domu zaraz po śniadaniu, kręcić się w waszych sprawach, nie rozmawiając nigdy z żywą duszą, i udawać, że nie wiecie nic a nic i że nie domyślacie się niczego na świecie. Zrozumielście, *Masto Rafaè*.

Gospodarz tymczasem zamykał obrady pełną powagi sentencją:

— Tak, tak, drogi kumie, tu wchodzą w grę najdonioślejsze interesy życiowe.

Kiedy Łukasz zaczynał mówić swoim mądrym językiem, człowieczek czuł się całkowicie zmiażdżony. Gdyby nawet miał nieborak chęć oparcia mu się, musiałaby ona runąć wniwecz wobec tej adwokackiej wymowy, która imponowała mu zawsze, poczynając od czasu ich wspólnych spekulacji.

Teraz te dwa ciemne indywidua nie dałyby sobie za nic dmuchnąć sprawy z przed nosa przez wmieszanie się Rafaela, którego uważały, i słusznie, za niezdolnego do objęcia ich szerokich widnokręgów.

— Chcecie zrujnować dziecinę? — Ten groźny okrzyk, rzucony na zakończenie sceny, zmroził mu krew w żyłach i nie pozwolił zmrużyć oka przez całą noc, jakgdyby owa ruina była bliska i niezawodna. Opadł go taki lęk, że nie śmiał prawie tknąć jedzenia, ani na chwilę nie opuszczało go poczucie winy i nieledwie pragnienie, aby się zaprzępaścić, zatracić, byle tylko oczyścić sumienie z zarzutu, jaki go spotkał za sam nagą fakt, że żyje na tym świecie.

* * *

Teraz na środku wiejskiej drogi, gdzie został sam, zgneębiony wynurzeniami Carluccia, łatwowierny

człowieczek przebiegał myślą wszystkie swoje cierpienia, wszystkie katusze myśli, bohatercko maskowane wesołością: *małeńka* stracona dla niego, ukochana jego serca już nie jego, już nigdy nie jego... I w buncie całej swej umęczonej istoty poważał się na westchnienie, które było głosem bezwiednego rodzicielskiego egoizmu. — Dla nas, Sciosciammocca, byłoby lepiej, gdyby się to nie stało.

Dźwięk własnego głosu przywołał go do rzeczywistości. Co byłoby lepiej? Żeby wiecznie robiła koronki, zamknięta w ciemnej, dusznej izbie? Biedaczysko połknął pośpiesznie wielkie łzy, które spływały ku rzadkim wąsom i rozejrzał się z przestraszonym wyobrażeniem, jakiego wyobrażenia nabrałby o nim, starym idjocie, który jedną nogą jest już na tamtym świecie, a jeszcze myśli o sobie?

Ale go nikt nie słyszał, nawet Bóg...

Nie, doprawdy—myślał człowieczyna ze skruczą, ruszając w dalszą drogę — ludzie, którzy uważali go być może, za dobrego ojca, nie mogli wcale wystawić sobie, że w gruncie jest tak bezwzględny i nędzny samolubem. Powiedział mu to Sciosciammocca, okrąglami, wilgotnymi oczyma, które wlepiły się w niego, i dozorca w ruinach, odwracając się doń niegrzecznie plecami, nawet słońce, które świeciło mu w same oczy, oślepiając. Tak, wszystko i wszyscy zdawali się wyrzucać mu gorzko jego grzeszne wahanie. Świat cały już nie był tak piękny, a życie chwilami miało smak piotunu.

Na świecie, wokół niego, Rafaela, była zawiść i zazdrość. Był Carluccio, który miał się za godnego Concettelli, i dawał posłuch plotkom wiejskim, były gadatliwe kумы, które wiecznie znajdowały coś do zarzucenia dziewczynie, ponieważ była piękna i sama dawała sobie radę w życiu, a teraz mściły się, podejrzewając dobrego panicza i podając w wątpliwość

szczęście, jakie spotkało małą. Człowieczek od razu pokazał rogi.

A jeżeli rzucili mu na nią urok? O Jezull!

Cała radość pierzchła, i uśmiech tryumfu, który wydawał się odbiciem słońca na małeńkiej, wyschłej twarzy, przeszedł w dziwne zaleknienie, wyrażone pełnym przestraszonym podniesieniem brwi. Pograżony w boleści, nie dostrzegł wcale powozu, z którego u wejścia do wykopalisk wytoczyło się trzech grubych amerykańców, doszedł nawet do zwątpienia w sprawie świetnych zysków, jakie w chwili uniesienia zapowiedział był Sciosciammocce.

— Pogoda się psuje — ośmielił się zauważyć melancholijnie, patrząc na obłok dymu nad Wezuwuszem.

Nowa dorożka zatrzymała się przed kratą i wyszła z niej para małżeńska. Biedaczysko podniósł machinalnie do ust klarnet i zagrał jakiegoś walca. Para wzięła się pod rękę i weszła spiesznie, nękając w małym zielonym labiryncie, który prowadzi do rozwalin. Wychodzili z nich dwaj Niemcy, rozprawiając hałaśliwie, na oczach mieli zadymione okulary, a w rękach Baedekera; Rafael wynioskował z wrażenia, że będą woleli polkę i z miejsca zmienił melodję, podczas gdy Sciosciammocca wspiał się milutko na tylne łapki, trzymając w pyszczku miseczkę. Niemcy zapytali jednego z dozorców, o której odchodzi pociąg do Neapolu i weszli do hotelu.

— Podłe życie, he! Rafaelu?—odezwał się mrukliwy dozorca. Maltretował on niekiedy grajka, w gruncie jednak nie patrzył nań krzywo i przywykł do brzęku gitary, która nieraz w letnie popołudnia ułatwiała mu drzemkę.

Nauczyliście się piosenki? — zapytał z kozła znużony woźnica—teraz właśnie chwila odpowiednia.

Gromada angiełek zbliżała się od strony cudownej kaplicy. Rafael spiesznie wsunął do kieszeni

klarnet i chwyciwszy gitarę, począł z wielkim rozmachem fałszować pierwszą zwrotkę. Woźnica śmiał się, angielski przeleciały niemal pędem, trzepiąc jedna przez drugą.

— Pogoda się psuje — mruknął stary, który teraz widział już płamy na słońcu.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zniechęcony, przewiesił gitarę przez ramię i ruszył wolno w stronę kaplicy, wzdłuż umarłego miasta. Spojrzał z roztargnieniem w stronę grobli, biegnącej po falistym gruncie, nad nieodkopianą jeszcze dzielnicą grodu, i zdawało mu się, że dostrzega smukłą postać Fryca Meyera. Spojrzał uważniej i poznał go, wchodzącego między zwaliska.

— O, panicz! — I nagle poweselał.

Już to dzisiejszy ranek szczególnie obfitował w spotkania. Nieco dalej miał wprost wrażenie, że śni. Czy to przypadkiem nie Concettella szła drogą, z pochyloną głową, otulona w czarny szal, spadający aż na oczy?

— *Ohe* — krzyknął człowieczek, którego niespodzianka napętniła nagłą odwagą. I buńczucznie przyspieszył kroku, cały w podskokach.

Dziewczyna dosłyszała wołanie, podniosła głowę i uśmiechnęła się przelotnie, zdaleka, jednak nie wyglądała na bardzo zadowoloną ze spotkania. Stary, przeciwnie, sądził, że świat odmienił się po raz wtóry i zatrzymał córkę krótkim, pełnym żalu słowem. — Dlaczegoś mi nie powiedziała? — Concettella była na mszy w Valle di Pompei, a on nie wiedział o tem! Córka tłomaczyła się jakby z pośpiechem:

— Zdecydowałam się w ostatniej chwili. Poszłam ślubować.

— Ślubować Madonnie? — powtórzył, przejęty czcią.

— Żeby mi zrobiła pewną łaskę — westchnęła Concettella z niezbyt wielką, jak się zdawało, wiarą.

Milczeli chwilę, on pełen zapału, ona zmieszana.

— Ale wy, ojczy, co robicie w tych stronach? Mówiliście, że pójdziecie dziś do Neapolu.

— Dziś cały Neapol przychodzi tutaj — zapewnił. znowu pełen ufności, jak rano.

I uderzył wierzchem palców po gitarze.

— Nabijemy pełną kabzę, nie widzisz, co za dzień?

Dziewczyna milczała chwilę, zamyślona.

— Tłumy były dziś w kościele. Gdybyście tak tam zaszli?

Rafaelowi, który obiecywał sobie, że ją podprowadzi kawałek drogi, przyszło do głowy, że Concettella nie chce pokazywać się razem z nim, tak mizernie ubranym.

Spuścił ulegle głowę i postanowił usłuchać. Ale nie mógł oprzeć się pokusie, aby przed rozstaniem nie powiedzieć jej czegoś, co jej napewno sprawiłoby przyjemność.

— Wiesz, widziałem panicza? Jest w ruinach,

Wskazał na grzbiet grobli, wyęzając olśnione blaskiem oczy, jakby chciał wypatrzeć go jeszcze, i nie dostrzegł, że córka pobladała.

— Dlaczego mówicie mi o tem, ojczy? — zapytała niepewnym głosem, ząsepiona.

Człowieczek podniósł na nią zwykle swoje, niewinne spojrzenie. Concettella, rozczarowana, uczuła dotkliwy ból.

Słuszność miała kuma Łucja: nie wiedział, nie rozumiał, nie domyślał się niczego, był prostym, nieszkodliwym stworzeniem, które patrzy na wszystko, poto tylko, aby się dziwić, jak dzieci, zadowolony, że żyje, że rozmawia z Sciosciammocą, że widzi wszystkich w dobrym humorze, i że zarabia parę soldów, wyprawiając grymasy po ulicach. Kocha ją, zapewne, ale nie może nic zrobić dla niej. I jeżeli którego dnia odjedzie, obiecując odwiedzać go od czasu do czasu,

i zapewniając go, że jest szczęśliwa, pocieszy się i nie będzie pytał o nic więcej.

Rozstali się. Dziewczyna poszła drogą przeznaczenia, z uspokojeniem już sumieniem, choć na dnie serca kryła jakby jakiś niejasny żal do tego słabego głosiku, co nie podniósł się, aby powstrzymać ją na drodze, na którą tyle innych potężnych głosów ją wzywało. On podreptał ku kaplicy, jeszcze wzburzony po przebytem niebezpieczeństwie, i błogosławiąc w duszy kumę Łucję, która zawsze radziła mu iść za głosem rozsądku.

— Tym razem wybrnęliśmy szczęśliwie — zwierzył się Sciosciammocce—ale powiedz, może ty rozumiesz, dlaczego ta dziewczyna nie pozwala nigdy, abyśmy i my, biedne istoty, czegoś się dowiedzieli?

Zagadnienie było zawikłane. Sciosciammocca pomrukiwał dla namysłu, a Rafael, na tle jego mruczenia, zaczął przygrywać. Jakaś pani, wchodząca do kościoła ze srebrnym ex-votem w rękę, włożyła monetę dwudziestocentymową do miseczki pieska. Początek był dobry, a w gruncie, zważywszy wszystko razem, życie nie było takie podłe, jak twierdził dozorca z wykopalisk. Cała mądrość—umieć poprzestać na małym.

* * *

W tej samej godzinie, kiedy Concettella, błądząc melancholijnie wśród ruin, krytykowała starego, dzieciennego ojca, a Rafael drżał jeszcze, że przekroczył zakaz kumy Łucji, kiedy Carluccio, z twarzą jak burak, smażył na patelni zamówione przez Niemców ryby i budował zamki na lodzie, licząc mocno na obietnice chytrej kumy — w pracowni, pod portretem Rusinelli, zadowolona tłuszciocha, gotowa zdławić w ciasnej sieci intryg nową ofiarę, znajdowała sposobność, aby popisować się wielkodusznością.

— Moja donno Fortuno, to są potwarze! Potwarze, donno Fortuno, potwarze.

Wyraz zapożyczony był ze słownika kuma Łukasza, a tłuszciocha podkreślała go z widocznym zadowolaniem.

— Zresztą ja jestem kobieta uczciwa, a Concettella jest mi jak córka. Czy sądzicie, że mogłabym przystać. Co?

Wykonała gest, pełen niedoścignętego dostojeństwa, i ciągnęła dalej, wpatrując się w donnę Fortunę, jarzyniarke, swemi zielonawymi oczkami, których rozszerzone źrenice rzucały magnetyczne błyski.

— Panicz, rozumiecie mię? ma poważne zamiary. Poważne, donno Fortuno, poważne.

— Matko najświętsza, i to wobec tej grymaśnicy — wykrzyknęła tamta zdumiona — kum Łukasz mówił to wczoraj u masta Strucia. Ale trudno wprost uwierzyć.

— Kiedy ja wam to mówię, to możecie wierzyć—zapewniła matrona. — Concettella urodziła się w czepku. Matka jej, poczciwości,—Panie świeć nad jej duszą!—i podniosła tkliwy wzrok ku portretowi—wymodliła to dla niej.

— Matko najświętsza — krzyknęła znowu z niedowierzaniem jarzyniarka. — A toć przecie była...

— Donna Furtù.

Zielonkawę oczy cisnęły nierozważnej kobiecie piorunujące spojrzenie.

— O podobnych rzeczach nie wolno nawet wspominać. Mieszkam w tym domu, odkąd Concettella była, ot taka maleńka, i ta święta kobieta umarła na moich rękach.

Wszystko to była nieprawda, niemniej, wypowiedziana patetycznym głosem kumy Łucji, robiła stanowczo wrażenie.

Jarzyniarka usiłowała protestować.

— Tak, wtedy nie mówię, ale dawniej.

— Mówmy lepiej o naszych sprawach — odezwała się miodowym tonem żona lichwiarza.

Gadatliwa kobieta zadrzała. Oczy koronkarki, zimne i bezbarwne, znikły w fałdach powiek.

— Nie gniewajcie się — szepnęła przybyła z zająknięciem — przybiegłam wam powiedzieć, że nie mogę zapłacić raty.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział miodowy głos.

— Oh, kumo Łucjo, ale co będzie z moim łańcuszkiem? — westchnęła trwożnie kobieta, chcąc się dopatrzeć jakiegobądź błysku w zwężonych źrenicach.

— Sprzedadzą go — odpowiedziała stara, zamykając coraz bardziej powieki — chyba że...

Przybyła odetchnęła:

— Wszystko, co chcecie.

— Tego zawodu — znacie mię — podjęłam się z dobrego serca, żeby dopomódz ludziom i zadawałam się uczciwym zarobkiem, tyle tylko, aby dla mnie samej starczyło. Wszyscy musimy żyć, to trudno, biedna moja donno Fortuno. Gdyby wzrok mi służył, śleczalabym jeszcze nad koronkami. Nie byłabym zmuszona iść do służby i...

— Teraz jednak żyjecie sobie niczego — wtrąciła z przekąsem jarzyniarka.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu. To przez ten maleńki spadek, który dostał się Łukaszowi, a który zmarnowaliśmy, kupując to stare domisko, istną rudere, byle tylko dopomóc mastowi Rafaele. Serce bo mamy oboje. Dosyć!. Podpiszcie się teraz na tej karcie i idźcie w spokoju.

Wyciągnęła z pod stanika pomięty swistek i ogryzek ołówka; donna Fortuna, zupełnie zbita z tropu, podpisała, nie pytając o nic więcej.

— Drobnostka, drobnostka — powtarzała tłusciocha, wsuwając napowrót dokument w zanadrze. — Domyślałem się, że nie będziecie mogli zapłacić i

przygotowałam to z góry. Znacie mię: byle dogodzić ludziom, Bóg wie, cobym zrobiła.

Jarzyniarka podziękowała, jeszcze zawsze bardzo zmieszana, i zabierała się do wyjścia.

Zrozumieliście, donno Fortuno, jeśli Rafael was zapyta, nikt w miasteczku nic a nic nie wie.

— Bądźcie pewni. Zresztą nigdzie go już nie widuję. I kto się wogóle w Torre liczy z biedaczyskiem. Gdyby nie wy...

Donna Fortuna, schodząc ze schodów, nie mogła się powstrzymać od rzucenia tego przycinka. Uroczysty głos matrony gonił za nią z napomnieniem:

— Pamiętajcie, muchy nie wpadają do zamkniętych ust.

Jarzyniarka spuszczała się ku Torre del Greco, mrucząc przez zęby:

— Trzeba ją trzymać ciepło. — Spotkawszy się jednak z zaufaną kumoszką, zaczęła wynurzenia: — Concettella jest bezwstydną. Rafael to stary głupiec, kuma Łucja przypomina kleszcze, a kum Łukasz o! to na wielką skalę oszust, który robi pieniądze.

Kumoszka podzielała w zupełności to zdanie i zaświadczyła, że wogóle całe Torre myśli tak samo. W Torre wszelako, z wyjątkiem kilku pleciuchów sklepikarzy i kilku nygusów, niezbyt się zajmowano tajemniczemi odwiedzinami zagranicznego panicza. Dom Rafaela znajdował się poza miasteczkiem, a odkąd przywłaszczył go sobie lichwiarz, większość mieszkańców patrzyła nań z obojętną pogardą, niektórzy z samozachowawczą bojaźnią. Z drugiej strony wszyscy mieli osobiste swoje troski i nie było czasu na przejmowanie się kłopotami innych.

Zostawszy sama, kuma Łucja udała się natychmiast do kuchni, zakrzętnąć się koło obiadu. Była niezmiernie zadowolona z siebie i myślała tonęła dalej w rozkosznych obliczeniach.

Kiedy Concettella wyjedzie — a tak, jak dziś rzeczy stoja, zapewne już niezadługo zerwie się do odlotu — będzie można wynająć jeszcze jeden frontowy pokój. Na lato będą mogli nawet, ona i kum Łukasz, przenosić się czasowo na poddasze i gotować w jednej kuchni z Rafaelem, co pozwoli oddać mieszkanie jakiejś całej rodzinie, Concettella będzie wypłacała pensję ojcu. Concettella będzie robiła to i owo...

A jeżeli Concettella nie zechce wyjechać? Eh, bzdurstwał Kuma miała na podórzedziu środek, który chowała na ostateczny wypadek. Ten rozwieje bez wahania wszystkie skrupuły.

Zapukano do drzwi. Starucha, która w myśli zbijała już majątek i przenosiła się do miasta, gdzie miała wziąć przychodnią dziewczynę (stałe marzenie ex-sługi), zeszła otworzyć.

— Serce moje, jakaś ty blada! — zawołała ze szczerem przejęciem — musiałaś biedz za szybko.

Concettella w milczeniu weszła na schody, trzymając się poręczy. W pracowni zrzuciła namitkę, wzięła tamborek i usiadła przy oknie, ciągle niema. W chwilę później już sprawne paluszki poruszały się zwinnie nad zwykłą robotą.

— Może, z łaski swojej, powiesz mi, co zaszło? — zagadnęła stara, zaniepokojona.

— Zaszło — odpowiedziała dziewczyna — że się z nim poróżniłam.

— Na miłość boską...

— Tak, na miłość boską. Madonna Pompejańska odmówiła mi pomocy. Jego matka wyjechała gdzieś, nie wiem gdzie, do jakiegoś miasta, gdzie się urodzili. Nawet to już dawno, ale on mi nie powiedział o tem. Teraz i on także ma wyjechać i chce, żebym pojechała z nim razem.

Wymówiła to wszystko jednym tchem, ze zwieszoną głową.

— I jest tu się czem tak przejmować? — zaczęła chytrze stara, odzyskując spokój.

— Ba, czy jest... Przecież ja liczyłam, myślałam, że... A właściwie, to nie myślałam. Zresztą mniejsza o to, bo nie jadę.

— Sądziłam — zauważyła obłudnie kobieta — że go kochasz.

— Czy go kocham? — załkała Concettella; opadając w wybuchu rozpacz na swój walek z robotą.

— W takim razie, wielka rzecz! Pogodźcie się i koniec. Po burzy dla zakochanych jeszcze błękitniejsze niebo. No cicho, cicho.

Poczęła gładzić jej zwichrzone włosy i porządkować je nad czołem.

— Ale ojciec — szlochała dziewczyna,

— On biedaczysko, nawet nie zauważy.

— To wy tak myślicie — odparła młoda z rozpaczą. — Spotkałam go dziś rano, tak się rozpromienił, że mię widzi! Patrzył na mnie, patrzył...

— Pytał się, dokąd idziesz?

— Nie.

— A widzisz. Nie troszczy się o to. Nieborak, to nie jego wina. Ubóstwia cię, wszyscy wiemy, ale zawsze był taki jakiś... Gitara, pies, no i całymi dniami wałowanie się po ulicach. Z takim ohydny zawodem, a wydaje mu się, że jest co najmniej królem! I kiedy tylko wie, że ci dobrze, i że sam ma dwa sody na tabakę... bo egoistą nie jest, uchowaj Boże. Pękłoby mu serce, gdyby wiedział, żeś się dla niego poświęciła.

Myśli mąciły się w głowie Concettelli, nie była pewna, czy rozumie co się dzieje dokoła. Czuli sama, że poddaje się działaniu tego miodowego głosu, który umiał tak dziwnie zmieniać postać wszystkiego i gościć wszystko, nawet te dwa uczucia, tak biegunowo odległe: zgryzoty serca i sumienia z wymaganiami miłości, wszechmocnej jak przeznaczenie.

— Biedna moja mama—westchnęła, całkiem już pokonana.

Stara przybrała wyraz natchniony:

— Ona bardziej, niż ktobądź, spólczałaby tobie. Gdybyś wiedziała, serdeńko, co to był za anioł! Ale miłość wszystkich czyni szaleńcami. Gdyby nie ja — tu zniżyła głos, aby wyszeptać wielką tajemnicę—zakochawszy się w malarzu, byłaby zrobiła to samo, co i ty.

Concettella utkwiała w twarzy czarownicy nieprzytomne oczy, jak ktoś, co czuje, że leci w przepaść i błaga pomocy: Wiedźma jednak ciągnęła dalej bezlitośnie:

— I rujnowała się, wiesz?, bo to był hołysz i bez odrobiny serca. Świece na ołtarz powinnyście kupić obie na moją intencję. Na tem rękę umarła, święta istota! A ty, czy będziesz pamiętała o kumie, co, Concettella?

Dziewczyna już nie słyszała. Mróz szedł po niej, od warkoczy po przez kark i ramiona i podrzucał ją śmiertelnym dreszczem. Runęła w otchłań, zawrotny wir nosił ją daleko.

I bezcelowa była walka.

IV.

Powróciwszy któregoś wieczora do domu, człowieczek już jej nie zastał.

Poszła,—objaśniła go kuma—odnieść robotę do Neapolu i przenocuje w mieście, u siostry kuma Łukasza.—Następnego dnia Rafael nie chciał ruszyć się z domu i wyczekiwał do wieczora, wylękniony, podchodząc co chwila do okna poddasza z Sciosciammocą, który również niespokojny, wskakiwał na parapet i zeskakiwał, wyjąc. Kuma Lucja, wróciwszy do domu przed nocą, oznajmiła, że Concettella zabawi w Neapolu jakieś dwa, trzy dni. Pierwszy raz w życiu była nieobecna w nocy. Ojciec nie miał chwili spokoju, roił tysiące najokropniejszych przygód, które ją mogą spotkać w wielkiem mieście, zdaleka od niego. Spytał kumy:

— A czy przypadkiem nie dostaną się tam złodzieje?

— Co za pomysł! Assuntina mieszka na Forii w ślicznym domu. Tam wszędzie pełno ludzi.

Następnego dnia Rafael zauważył, że gitara była uszkodzona.

— Jakim cudem? — rozważał zgnębiony — wczoraj przecie była w zupełnym porządku!

Liczył, że będzie mógł pójść do Neapolu, zobaczyć, co się dzieje z córką. Zamiast tego musiał zostać w domu i naprawiać instrument.

Trzeciego dnia rzucił naiwną uwagę:

— Panicza już jakoś nie widać.

— Rzecz prosta, skoro niema Concettelli — odzwała kuma.

To prawda. Panicz zapewne jeździł do Neapolu. Rafael wyszedł z domu wczesnym rankiem i wyczekiwał na drodze z Castellammare, rad widzieć chociaż jego w braku Concettelli. Przewinięła się moc pojazdów, Sciosciamocca zebrał dziesięć soldów, ale siwego konika, zaprzęzonego do tilbury, nie było ani śladu. Około południa Rafael zebrał się do odwrotu i obojgu kumom, spożywającym właśnie zupę, oznajmił swój zamiar udania się do Neapolu, aby dowiedzieć się o dziecku.

— Maleńka jest chora, założę się, i nie chce mi o tem donieść.

Ohoje siedzący porozumieli się wzrokiem. Czy pozwolić mu iść? Kum Łukasz trącił łokciem żonę. Tak pójdzie gładziej. Po powrocie będzie już wiedział o wszystkim i zostanie jedynie pocieszenie go i powtarzanie wszystkiego, co mu kazała powiedzieć Concettella.

Rafael zdjął pomięty cylinder i zakurzone szmaty wędrownego grajka, aby wdziać odświętne ubranie, które mu niedawno polatała córka.

— W nogi i marsz, Sciosciammo. Idziemy zobaczyć naszą Concettellę!

Długa droga wydała mu się dzisiaj nieskończoną. Ale miał dosyć tematu do rojeń, a czas mija szybko na myśleniu o tylu pięknych i brzydkich rzeczach. Najpierw były najstraszniejsze podejrzenia co do przyczyny nieobecności Concettelli: dziewczyna była chora, miała gorączkę, majaczyła, wpadła jak matka, w piersiową chorobę, umierała, umarła, nieśli ją na cmentarz, chowali ją. On i Sciosciamocca, samotni, na świeżo poruszanej ziemi pragnęli także śmierci. Litłość nad sobą samym, padającym na twarz w szlochach u mogiły dziecka, była zbyt silna, chwyciła go za gardło i wycisnęła z oczu dwie wielkie łzy, które

zwolna spływały po policzkach. — Ludzie nie umierają tak łatwo — mruknął, by się pocieszyć. Tymczasem wprost odwrotnie: zbyt łatwo umierają. Przypomnił sobie dziewczątko, które kilka dni temu zanieśiono na mogiłki w Torre.

— Peźdzmy, peźdzmy — krzyknął napół przytomny do Sciosciammocchi, galopującego za nim.

O tej porze, obiadowej, wszyscy prawie byli w domu; nieliczni przechodnie oglądali się za drobnym człowieczkiem, który leciał, gestykułując jak warjat. Zadyszał się wkrótce i w Resinie musiał zwolnić kroku. Przejeżdżał właśnie tramwaj. Rafael zaczął się macać po kieszeniach, zrozpaczony, że nic nie znachodzi. Ranne soldy zostały w tamtem ubraniu. Poszukiwanie uwolniło go jednak na chwilę od zmyry — zdołał się zastanowić. Gdyby Concettella zachorowała, Assuntina byłaby dała znać kumom. W domu byliby mu to powiedzieli, albo poszli z nim razem. Pozwolili mu iść samemu, zatem byli spokojni. Concettella widać została w Neapolu, bo jej tam było przyjemnie.

Biedak powracał stopniowo do siebie, na ostatnią myśl uśmiechnął się nawet zupełnie wyraźnie. Jaki też on całe życie był głupi! Przypomnił sobie ostatni wieczór karnawałowy. Jego kochana poszła do teatru i śmiała się tak, że aż zwracała uwagę obecnych. Dorożka jej zatrzymała się wtenczas właśnie w tem samym miejscu, przed sklepikiem z papierosami, i on wsiadł razem z Sciosciammocą. Zawisła wtedy nad światem lekka mgła, która mąciła wszystkie zarzysy i noc stała dziwnie jasna w tumanie, w którym latarnie poruszały się jak ludzie.

llez to wrażeń przeżył owego wieczora! Ani mógł przeczuć on, Rafael, że sprawdzi się tyle niezwykłych przepowiedni. Chyba cud jakim! Wszystko, punkt po punkcie, jak mu zapowiadali Pasqualino i policjant, który go klepał po ramieniu i stary pan

z oczkami, świecącemi z za okularów. Chyba, że oni już wtedy wiedzieli coś nie coś? Zrozumiał to odrazu następnego dnia, zastawszy u siebie w domu pięknego panicza. Więc nie był znowu taki głupi. Kiedy zobaczy Pasqualina, powie mu: „Tyś to wiedział hul-taju”!... Właśnie od niejakiego czasu miał zająć do niego, opowiedzieć mu o wielkim szczęściu, jakie spotkało jego dziecko i podziękować za rozmaite rzeczy. Chciał także podziękować policjantowi i staremu panu, którzy opowiedzieli mu historję o Rigoleccie. Jacy to dobrzy ludzie bywają na ziemi! Pójdzie do nich dziś, zaraz po zobaczeniu Concettelli. A i ona jest anioł dziewczyna. Któregoś tu ranka uwiesiła mu się na szyji i zdawało się, że nie może się od niego oderwać. Wspomnienie tkliwej pieszczoty przejęło go szaloną chęcią zobaczenia jak najprędzej drogich białych rączek. Przyspieszył kroku, pokrzepiony.

— W nogi, mój Sciosciammò!

Pies machnął ogonem.

— Idziemy do niej, do niej, do niej — powtarzał staruszek w przystępie dobrego humoru, podskakując jak chłopiec i z nieprzepartą chęcią splełania jakiegoś figla. Gwizdnął, spojrzął w oczy przechodniom z wyrazem lekceważącej wyższości, nie licującej z jego wynędzniałą twarzą, i krzyknął na ospałego Sciosciammocchę, wzywając go do dzielenia tej warjackiej wesołości. Nie ciężyło już jego barkom sześćdziesiąt smutnych i ciężkich lat samotnego parjasowkiego bytowania, rozbiłęk życiowy, czepiający się ostatniej deski zbawienia, podśpiewywał ochoczo, zbliżając się ku rafom, na których czyhała śmierć.

O, jego widzenia owego pamiętnego wieczora!!...

Mijał domki, obrośnięte glicynjami, wille i ogrody, widne poprzez sztachety, śmiejące Portici, pełne zaczarowanych siedzib, które mogą zamieszkiwać chyba istoty wybrane. Drobne, jasnowłose dziewczątko

uśmiechnęło się do niego z jakiegoś progu, bezwiednie, cicho, jak tylko dzieci umieją się uśmiechać.

Potem minął domy San Giovanni a Teduccio, młnlej okwiecone, ciemniejsze, ale równie pociągające. Czerwona latarnia przed karczmą w południowym słońcu nie przypominała już jowialnej twarzy urzędnika policyjnego, ale wydała mu się piękna przez to samo, że pamiętał ją z owego wieczora.

Spieszył coraz bardziej, nie oglądając się na nikogo i popędzał Sciosciammocchę, który poszczekiwał radośnie. Tramwaje mijaly napchane. Po ożywieniu drogi czuł już było bliskość wielkiego miasta. Chwilami Rafael musiał się wprost przeciskać wśród natłoku wozów.

I nikt nie zwracał na niego uwagi. Niebo jarknęło się blaskiem nad głową biednego staroego ojca, który szedł, by dowiedzieć się, że został porzucony przez własne dziecko, a szedł rażnym krokiem z rozjaśnioną twarzą pośród obojętnego świata, unosząc z sobą jedynie uśmiech dziewczęki, co spojrzala nań z instynktowną sympatją, jaką jedynie dzieci umieją okazywać.

Biła właśnie czwarta na wieży jakiegoś kościoła, kiedy Rafael zanurzył się w gąszcz zaułków zmierzając ku Forji. Starał się wyszukać wskazany dom i znalazł go nareszcie. Była to wielka ponura kamienica, upstrzona nieprawdopodobną liczbą okien, z mnóstwem dachówek i ze sklepikami o niskich drzwiczkach. Na schodkach od najbliższych drzwi siedziała młoda dziewczyna i czesała dziecko.

— Kogo to szukacie, ojczcze?

— Assunty, szwaczki — odpowiedział nie bez niepokoju.

— Wychodzi na całe dnie — oznajmiła inna kobieta, ukazując się w sieni.

— Moja córka jest u niej — odezwał się stary, już teraz tonem zupełnej pewności.

— Jaka córka? — Kobiety spojrzęły po sobie zdziwione—Assunta mieszka sama.

— A u licha ciężkiego—bąknęł starzec. — Ale w tej chwili jest u niej moja córka, Concettella z Torre; przyszła cztery dni temu.

Kobiety znowu zamieniły spojrzenie.

— W takim razie to nie ta Assunta—odezwała się młodsza.

— Jakto?—zapytał Rafael, czując, że poczyna tracić grunt pod nogami — Czy tu już nie mieszka Assuntina z Torre, siostra kuma Łukasza?

— Mieszka—odparła ta, która przyszła z sieni—ale niema u niej nikogo.

— Concettella z Torre del Greco. Przyszła cztery dni temu—powtórzył nieszczęśliwiec, pod którym ugięły się kolana.

Kobiety zdumiały.

— *Donna Mari*, pozwólcie na chwilę—zawołała młodsza.

Z sieni wynurzyła się staruszka.

— Może wy, jako sąsiadka, widzieliście u Assuntiny dziewczynę, której na imię Concettella i która przyszła z Torre del Greco?

— Cztery dni temu...—jęknęł Rafael z pytającym spojrzeniem, w którym tkwiła cała jego dusza. Stara zaprzeczyła ruchem głowy. U Assuntiny niema nikogo.

— Cudna biała, bieluseńka—nalegał ojciec gasnącym głosem.

Kobiety poczęły przypatrywać mu się ze spótczuciem.

Nikogo, nikogo, stanowczo nikogo? Więc w takim razie...

Zachwiał się, tracąc na chwilę świadomość wszystkich otaczających przedmiotów. W głowie mu się męciło, musiał oprzeć się o mur i stał tak z zam-

kniętymi oczami, oddychając z trudnością, a w uszach czuł huk jakby stu młotów.

— To jego córka? — zapytała szeptem kobieta, która przyszła ostatnia.

Inne wyloniły się z sionki i ze sklepików, przywabione małym zbiegowiskiem. Młoda objaśniała je zniżonym głosem:

— Już jej nie znajdzie, przyszła cztery dni temu, niewiadomo gdzie jest, zginęła...

Śród szmeru głosów ciekawych i litościwych stał nieruchomo, przytulony do muru.

Młoda kobieta potrąciła go łagodnie, próbowała słów pociechy.

— Musiała pójść gdzieindziej, dlaczego jej nie szukacie?

Stary otworzył oczy, które patrzyły mętnie.

Ach tak, należy jej szukać...

— Idę — rzekł jak przez sen. I ruszył, chwiejąc się w towarzystwie psa. Kobiety półgłosem komentowały ten dziwny wypadek, patrząc za oddalającą się śmieszną postacią, skurczoną i zgiętą, która zataczała zygzaki po krętym zaułku.

Jak długo waleśał się po mieście, nie wiedział. Wydostał się na jakąś ulicę, która kołowała długo, między dwoma szeregami szyb, strojnych w najrozmaitsze przedmioty, pełna powozów i ludzi, mrowiących się w tę i w tamtą stronę. Mijało mnóstwo pań, ale mijały i dziewczęta w chusteczkach na głowie—w żadnej z nich nie poznał Concettelli.

Dążąc śladem powozów, dostał się na inną ulicę, jeszcze bardziej hałaśliwą od pierwszej i szedł prosto przed siebie, niby automat, bez zawahania, jakby był świadomy jakiegoś celu. Kopyta koni uderzały co chwila tuż, tuż koło niego, przechodnie musieli chwycić go za ramię i odciągać ku chodnikowi. Nie dziękował, nie widział tego nawet.

Wyszedł na plac, zamajaczyła mu zieloność, błękit, morze. Szeroką drogą powozy posuwały się w cztery zwarte rzędy. Rafael nie dostrzegał już dziewcząt w szalikach. Wszedł do ogrodu miejskiego, przyglądał się machinalnie wszystkim dzieciom, które się tam bawiły, przyglądał się rybkom w stawie. Po co przyszedł tu do parku? Dokąd szedł, idąc tak przed siebie?

Szukać Concettelli—aha, teraz sobie przypomina. I nie wolno mu ustawać, trzeba iść, iść ciągle. Dotąd nie wie, gdzie jest maleńka i nikt nie umiał mu tego powiedzieć. Concettella zginęła. — Ale on ją odnajdzie.

Zapędził się w jakiś zaułek, krążył długo, zabłądził w labiryncie uliczek, widział moc dziewcząt na progach sklepików—żadna nie przypominała Concettelli.

Wydostał się znowu na szeroką drogę, biegnącą wzdłuż wybrzeża, w jasnym zmierzchu zaczynały rozblyskiwać latarnie. Szedł dalej krajem spokojnego morza w ślad licznych powozów, minął kramy ostrygarzy z Santa Lucia, widział gromadki dziewcząt, rozmawiających i roześmianych—Concettelli nie było.

Wrócił w górę, do miasta, potykając się o szyny tramwajowe, poznał plac i wszedł do Galerji. Pies szedł za nim, również odruchowo, trzymając się wernie śladów pana. Galerja pełna była ludzi, ale Concettelli i tu ani śladu. Rafael już nie szukał — Concettella zginęła. Wyszedł na ulicę Świętej Brygidy z nieodstępnym Sciosciammocą, i nie przyszło mu na myśl, że w tem same miejscu był aresztowany w ostatnią noc zapustną. Instynkt kazał mu skrócić na ulicę deł Munićipio, minąć okole i zwrócić kroki w stronę portu.

Otuliła go noc. Co gwiazd na niebie! Szedł ciągle z temi gwiazdami nad głową, nie widząc ludzi,

latarni, ani domów. Nie pomyślał nawet, aby zatrzymać się chwilę, rzucić się na jaki próg i wypocząć.

Był tak nieskończenie wyczerpany, że nawet nie był zdolny odczuć zmęczenia. Uszy nie chwytaly dźwięków, nogi szły jedna za drugą, jakgdyby zawisłe nie od ścięgien ludzkich, ale od śrub stalowych, oczy w cieniu opadłego na czoło kapelusza, były zamknięte i ślepe.

Wielu ludzi zauważyło tego śpiącego, czy też pijanego. Nikomu nie przyszło do głowy, że to jedynie nakręcony mechanizm, ciśnięty na ulicę, aby szedł potąd, pokąd nie rozluźnią się spoidła.

* * *

Tragiczna podróż trwała siedem godzin.

Biła jedenasta na starym zegarze, kiedy kuma Łucja, wyczekująca w oknie i tknięta smutnem przeżuciem rodzących się wyrzutów, odetchnęła z uczuciem ulgi.

— To on!

Zeszli otworzyć. Stary nie patrzył na nich. Powlókł się odrazu na swoje poddasze, a za nim dwoje wystraszonych kumów. Wszedł do pokoju Concettelli, zwałił się na krzesło koło niepostanego łóżka i głucho wyszeptał:

— Umarła.

— Zwarjował — pomyśleli oboje, spojrzawszy sobie w oczy. Odblask świecy oświetlił go przelotnie i wykazał w całej okropności nędzę tego starczego oblicza.

— *Rafaè, Rafaè!*—krzyczała kobieta, potrząsając nim—*Rafaè, Rafaè.*

Nie znaleźli innych słów. Krzyczeli, powystraszani, dygocąc na dźwięk własnych głosów.

— Wody, wody—jęknęła baba.

Kum Łukasz chwycił miskę i zleli mu wodą głowę, plecy, czoło.

— Nie umarła, Rafaè. Słuchajcie nie umarła, uważajcie, Rafaè, lepiej jej, niż nam. Concettella wyjechała nie umarła, Rafaè!

Stary obrócił oczami w trupich oczodołach.

— Nie nmarła? — szepnął do siebie, jakgdyby pytał kogoś niewidzialnego, czy możliwe byłoby odrobić w przeciwnym kierunku całą przebytą drogę boleści?

— Ależ nie, kiedy wam powiadam. Lepiej jej niż nam. Wasza Concettella pojechała z paniczem. Jest zadowolona, tak się kochają...

Stary nie przychodził do siebie, cała odporność, moralna i fizyczna została porażona i zdrewniała w nadludzkim wysiłku tych kilku godzin, zostało tylko jedno poczucie, że dobrze byłoby zamknąć oczy i zatonać w ciemności. Kuma Łucja straciła cierpliwość. Scena przeciągała się zbyt długo, a jej się chciało spać.

— Pobrali się—syknęła w jednej złości.

— Pobrali się, pobrali, pobrali—krzyczała w uszy męczennika.

— Ah... — jęknął, unosząc nieznacznie głowę. Zrozumiał. Nie pomyślał, że go porzucono, że Concettella wyjechała bez pocałunku. Zapomniał, że miałby prawo do skargi. Owionął go spokój, niemal że niebiański. Mechanizm w tej chwili zaczynał funkcjonować, rozluźniały się wszystkie naciągnięte fibry, cała krew uciekła z żył i śmiertelnie znużenie, gniotący ból opadł, jak płaszcz ołowiany, Potem przyszło ucieszenie, radość, poczucie świętego prawa do zaśnięcia, mętne przepływanie obrazów: Concettella uśmiecha się do niego... Tak! rozgwar, rozmowy koło niego. Ale on mimo to zaśnie...

Zamknął oczy i przytulił głowę do poduszki.

Kuma Łucja ciągnęła dalej swoją niekończącą się opowieść:

— ... a i Concettella chciała, żeby wam powiedzieć... —

— Czy nie widzisz, że śpi?

Lichwiarz skrzywił się szyderczo. Kobieta, zdjęta litością, wzięła śpiącego w silne ramiona. Tak strasznie mało ważył! Rozciągnęła go na łóżku, okryła chustką Concettelli, ułożyła wygodniej na poduszkach i oddaliła się na palcach.

Opuszczony wypoczywał, z wierną psiną u nóg, pod strażą gwiazd.

.....

Nieszczęsna przed odjazdem błagała we łzach:

— Nie mówcie mu odrazu, miejcie litość!

Żądała litości od dwojga nędzników, ona, która sama czuła się zbyt słabą, by się litować.

Jeżeli będzie bardzo płakał, ukojcie go serdecznie, powiedzcie mu dużo ciepłych słów odemnie. I że jestem szczęśliwa... A piszcie mi, piszcie...

Łkała nieutulona, a jednak nie oparła się, gnała przeznaczeniem.

Ładna historia dla nich dwojga wyplatać się teraz z takiej matni i sprawić, by stary domyślił się sam przez się! Kuma Łucja poparła się pod boki i patrzyła na Łukasza wzgardliwym spojrzeniem, które mówiło wyraźnie: — Szczęśliwe te twoje pomysły, niema co!

Lichwiarz zauważył cynicznie:

— Jeżeli śpi, to znaczy, że jest śpiący.

— Dowcipnyś. Ale to nie tyle co, widzieć tego dziada, jak leży na łóżku wyciągnięty, ze skrzyżowanymi rękami i bez ruchu od wczoraj wieczór. Wchodziłam trzy razy, hałasowałam, wołałam go nawet. Tak, tak, gdyby nie był ciepły, powiedziałabym, że...

Nie dokończyła. Czuła, że przechodzą ją ciarki.
Po południu Rafael się ocknął.

Pierwszym dźwiękiem, jaki go uderzył było bicie godziny piątej na schodowym zegarze, potem głos kumy, która od kilku minut śledziła go, pochylona nad łóżkiem.

— Oh, Bogu niech będą dzięki! Obudziliście się! Spaliście też, bo spali, he, *masto* *Rafaèl*! Jest piąta po południu, co wy na to?

— Piąta? szepnął nikłym głosem, otwierając błędne nieco oczy.

— No a jak się czujecie?

— Dobrze — szepnął znowu starzec.

— Bogu niech będą dzięki. A teraz wstawajcie prędko i schodźcie. Przynajmniej wam rosół, od którego nieboszczyk by ożył. Sciosciammocca jest na dole i je w tej chwili.

— A Concettella? — zapytał zgaszonym głosem, który brzmiał, jak gdyby dolatywał z odległości.

— Aha ona, tak, to prawda. A ona ma się dobrze. Nie myślcie o tem, *masto* *Rafae*, i zjeździe tymczasem na obiad.

Dźwignął się na łóżku i rozejrzał dookoła w milczeniu. Uboga izdebka, niskie okienko, małe lustro, drogie sukienki, wiszące na kołku... Przypomniał sobie wszystko. Gniazdo było puste. Dziecko jego odbieżyło go na zawsze, porzuciło bez słowa pożegnania. Już nigdy nie wróci...

W chwilę później, siedząc w kuchni kumy Łucji, ze wzrokiem, błądzącym wśród kołysanych wiatrem drzewek ogródka, wysłuchiwał opowieści o tym nagłym wyjeździe i dowiedział się wszystkiego, co uznano za stosowne mu powiedzieć, lub za korzystne poddać jego domyślności. Kum Łukasz, kurząc na uboczu fajeczkę, przytakiwał głową i przerywał od czasu do czasu opowiadanie żony jakąś uwagą, która przypuszczał, że będzie przyjemna dla staruszka.

Miły towarzysz był ten kum, lichwiarz i kamorrysta, a przy sposobności nie gardził i żarcikami. Rafael, który zawsze w podobnych razach odpowiadał mu uprzejmie-pokornym uśmiechem, mniemając, że kum czeka na to, dzisiaj, rzeczywiście wyczerpany, nie miał nawet siły, by się uśmiechnąć.

— A kiedy wróci?

— Niedługo, niedługo—pocieszała go, tłuściocha. A kum wyobrażał sobie, że go rozweseli dyskretnymi uwagami na temat miodowego miesiąca.

— Ale dlaczego nic mi o tem nie mówiła? — szepnął stary, jeszcze nie pogodzony z losem.

— Wszystko to stało się ze względu na matkę. Wyjechali i mieli wsiąć ślub gdzieindziej, cicho, cichuteńko, bo Bóg wie, co by się działo, gdyby się dowiedziało. A wam dlatego nic nie wspomniano, bo macie trochę za długi język.

Nagana wydała mu się niesprawiedliwa, podniósł zbolale oczy z wyrazem zdziwienia. Ale w tej samej chwili przypomniał sobie Carluccia. Siwa głowa wtuliła się w ramiona, broda opadła na piersi.

Zmierzczało. Lichwiarz wyszedł, kuma podniosła się, by się zająć wieczną. Kręcąc się po kuchni, paplała w dalszym ciągu i wytaczała poglądy i projekty, dawno ukute z Łukaszem.

— Teraz, kiedy macie córkę wielką panią, nie możecie już dłużej uprawiać tego przebrzydłego rzemiosła. Trzeba, żebyście sobie obmyślili jakieś zajęcie w domu i zaczęli nareszcie życie bardziej osiadłe, zamiast kłuć ludziom oczy. Rozumiecie mię? Kiedy Concettella przyjedzie do willi w Castellammare, nie może spotykać po drogach ojca, włóczącego się z gitarą.

— Jakie zajęcie chcecie, żebym wynalazł sobie w domu? — wykrztusił starzec, załękniyony.

— Wielka rzecz! Dostycie naহারowaliście się. Wypocznijcie sobie, chudziatko. A nie miłoby wam było zjeść darmo kęsek chleba?

Człowieczyna wyrwał się na mgnienie głębokiemu pogębieniu, aby się z mocą przeciwstawić tej myśli:

— Otóż właśnie że nie miło. Chcę pracować.

I jakkolwiek w posłusznej, zmaltretowanej powłóce przemieszkiwać miała już odtąd dusza wiecznie nieobecna, niemniej upór jego w tym względzie był nie do zwalczania. Udało im się jedynie przekonać go, że należy wyrzec się dotychczasowego rzemiosła. W ten sposób nastały dla niego długie dni klauzury i milczenia.

Nikczemna para postanowiła go odciągnąć od życia włóczęgowskiego dla tysiąca powodów, z których on znał tylko jeden: życzenie Concettelli i ten jeden był dla niego święty. Oni wszelako, skazując staruszką na bezczynność, liczyli że wyludzą duże sumy od dziewczyny na przypuszczalne jego potrzeby, których przecie miał zawsze mało, a odtąd jeszcze miał mieć mniej. Obili się o zaciętą bezinteresowność tego prostego umysłu, którym kierowało przekonanie, nie oparte na żadnym rozumowaniu, ale niemniej niewzruszone. Stracił wszystko, co posiadał, i nie chciał pieniędzy za serce córki.

— A gdybyście tak robili pudełka, jak Totó, kaleka? — poddał mu kiedyś myśl kum Łukasz, nie widząc innego zajęcia dla nieszczęśnika, który dzień w dzień z rozpaczą domagał się pracy.

Kumie Łucji uśmiechnęła się nowa impresja: będzie sprzedawała w mieście pudełka, a Concettella będzie opłacała tekturę na tę zabawkę dla dziedzinnego dziada.

I Rafael, posłuszny, nauczył się robić pudełka. Po całych dniach, siedząc na stołku w ogródku wycinał tekturki, smarował gumą paski papierowe i dorabiał pokrywki. Ziajane tykanie zegara dobiegało go aż tutaj, przyjacielski głos zdawał się napominać go swym ochryplym szeptem:

— Pracuj, pracuj, wycinaj, klej, tnij pokrywki. Czas płynie. Concettella rodziła się, Rusinella umierała, łódka się rozbiła... Tobie wydaje się, że to wczoraj, choć tyle czasu minęło! A ja zawsze, zawsze idę. Tik-tak, tik-tak, czy słyszysz? Concettella wróci, a wtedy będziesz mógł umrzeć spokojnie.

Zobaczyć ją, zobaczyć jeszcze! Pisała raz z miasta, które się nazywa: Paryż. Niewprawne litery na papierze, lśniącym jak atlas, mówiły: — Drogi ojcze, jestem zadowolona, ale myślę o was. — Dosłownie tak mówiły!

I dalej: W Paryżu wszystko jest piękne i Fryc mię bardzo kocha, ale niedługo wrócę was zobaczyć. — Potem uściśki, obietnice które się nie kończyły, i prośba, aby pojsć do Pompei na pewną intencję. Podpisane było: Wasza Concettella.

Wyuczył się tego na pamięć i powtarzał co chwila, aby być pewnym, że mówiła właśnie tak, a nie inaczej. List sam, pachnący jak wanilja w ogrodzie, oprawił w paski tekturowe i powiesił na ścianie nad jej łóżkiem. Co wieczór i co rano, zaglądając do osamotnionego pokoiku, zatrzymywał się przed tą świętością, by na nią choć rzucić okiem.

Jednem z dziwactw starego, które kuma musiała uszanować, bo zgadzało się z rozporządzeniem Concettelli, było, żeby pokoik utrzymać nietkniętym, takim jakim go zostawiła odjeżdżająca. Rafael sprzątał go co rano, chociaż nikt tam nigdy nie wchodził i nie naruszał porządku, zamiatał go, przepatrywał, ścierał kurze z pobożnym namaszczeniem, a przed wyjściem z sanktuarjum całował relikwię: spłowiwały błękitny staniczek.

Tak więc wśród oczekiwania, w ogródku, który miał się dokoła niego, życie płynęło zbyt smutnie. Gdy zmęczony się wyczekiwaniem i klejeniem, przechadzał się pod drzewkami, naprostowywał gałązki śliwy, lub czyścił krzaki róży. Dawniej, kiedy

ten skrawek ziemi był jego własnością, przejmował się bardzo tem, jak rośnie sałata, lub jak kwitną karczochy; to też teraz, kiedy znowu został poniekąd panem, ożyły w nim dawne zamiłowania. Czasami — chociaż Rafael nie okazywał w tym kierunku wielkiej ochoty — kumowie namawiali go wspaniałomyślnie do przechadzki. Wszelako, ostrożni już dzisiaj, po pierwszym wybuchu boleści starca, i w obawie jakiegoś fatalnego dla ich chciwych zamiarów spotkania, które mogłoby otworzyć mu oczy na prawdziwy stan rzeczy, umieli zręcznie namówić go, aby chodził lepiej mniej uczeszczanymi drogami, ku Castellammare, lub ku Pompei, nie zatrzymując się dla rozmowy z nikim — zawsze ze względu na Concettellę. Ostrzeżenie było niepotrzebne, ponieważ człowieczek stał się jeszcze bardziej milczący, aniżeli wprzódy, a nie mając do powierzenia już teraz i dawnych, nieokreślonych wątpliwości, nie rozmawiał nawet z wiernym Sciosciammocą.

Jego sen ojcowski spełnił się, i całe życie jego, uwite ze snów, zatrzymało się u progu dokonanej rzeczywistości. O nowem życiu małej nic nie wiedział i nie starał się wyobrazić go sobie, ponieważ dla niego fantazjowanie musiało zawsze wypływać z jakiegoś realnego wydarzenia, a potem dopiero iść od wiary do wiary, od zdumienia do zdumienia, aż wkraczało w dziedzinę cudownych urojeń. Teraz, w ciszy i samotności, żaden fakt nie mógł mu już dostarczyć budulca do wznoszenia zamków na lodzie, wyobrażnia jego gnuśniała bezczynnie w oczekiwaniu bodźca, który na nowo sprawiłby ją w ruch. Jedyne wydarzenie, o którym mógł marzyć: przyjazd Concettelli, było wszechmocnym pragnieniem całej jego istoty, samym rdzeniem jego życia, nie chimerycznym motywem, na którego temat zdołałby się rozkołysać dla omamiania serca i oczarowania zmysłów. I jeżeli w przeszłości nie potrafił długo myśleć o rzeczach

smutnych, nieuleczalny optymista mimo tylu zawodów, teraz, kiedy szło jedynie o jego własną tęsknotę, nie przejmował się nią nazbyt głęboko.

Kuma zapewniła go, że dochód z pudełek wystarcza na spłacenie wszystkich długów; Rafael jednak nie zastanowił się, dlaczego w takim razie wszyscy nędzarze nie biorą się do wykrawania i gumowania tekturek, jeżeli tak niewielkim zachodem można aż tyle zarobić. Nie wiedział, że kiedy kuma doniosła, iż ojciec zapalił się do domowego życia, i bawi się wybornie kleceniem jakichś tam pudełczyn, Concettella, uradowana, przysłała śliczny czerwony bilet w poleconym liście.

Minął maj, czerwiec, i nadeszło lato. Nie widywał już nikogo. Ten rodzaj więzienia, przybrany w pozory pełnego dostojęstwa usunięcia się w domowe zacisze, trwał już z górą od dwóch miesięcy, i ani on nie poskarżył się ni razu, ani jego nikczemni dozorca nie zauważyli, jak się bardzo przez ten czas posunął. Jego żywiołem było wolne życie włóczęgi-spiewaka, długie wałęsanie się po słońcu i zieleni; w ciasnem zamknięciu ogródka ptucom jego brakło bujnych morskich powiewów, duszy jego pokarmu widzeń i pomysłów, ludnej ulicy, pstrej i zgiełkliwej, gdzie, jak w kalejdoskopie, wyobrażnia jego lubiło przesuwac najdziwaczniejsze obrazy poza lśniącą szybą wiary.

Jednak, cierpliwy i nieustraszony, czekał.

Tik-tak, tik-tak. — Ile godzin! ile pudełek! Narastały na stole obok wałka koronkarskiego Concettelli.

Minął lipiec i duszące spieki, które wycieńczały starca do tego stopnia, że niekiedy całemi godzinami siedział drętwy nad stosem niewykończonych pudełek.

Aż kiedy sierpień rozsypał po spalonym wybrzeżu

kwiat elegancji neapolitańskiej, dla niego przyszła radość niezrównana—tyle upragnione odwiedziny.

Młoda paryżanka, która pełna wdzięku i pewności siebie, wyskoczyła z powozu, nakazując wygalonowanemu lokajowi czekać przed domem, miała, mimo wszystko, pewne podobieństwo do Concettelli, co nawet na tle ubóstwa potrafiła roztaczać tyle harmonji i uroku w spokojnych i płynnych linjach.

Kumowie, przywabieni turkotem kół, poznali ją natychmiast po przez białą aureolę muślinów i koronek, a raczej ujrzeli ją taką, jaką ją sobie bezwiednie byli wyobrażali: istotę z lepszego świata, zabłąkaną w ich otoczenie.

Ona weszła do sieni, lekka, powiewnym krokiem, jaki jej nadawały zgrabniutki miejskie trzewiczki, i drżącemu człowieczynie ukazała się w ogródku niby widzenie anielskie, spłynione na ziemię, zanim je znów uniesie ruch śnieżnych skrzydeł. — *Immacolata Concezione**) musiała tak wyglądać, musiała mieć liczko białe, bieluchne w obłoku welonów. Wzniósł ramiona ku niebu w podzięcie, aż uczył, że coś mu je ściska, uczył niespodziewany a krzepki łańcuch wkoło szyi,

— Ojczy... ojczy...

Pies zaskowyczał z radości, która jednak za-brzmiała jak jęk.

Tak, to była ona. Płakała na jego ramieniu, opadając wyniosłą, wiotką postacią na biedny, stary szkielet. Zdawało mu się, że umiera ze szczęścia...

* * *

I oto galopuje znowu na swym odwiecznym Hipogryfie przez zakłete królestwa, podążając za Concettellą, która chce oblecieć cały dom, zobaczyć poddasze i izdebkę, zamkniętą dla odgłosów świata, i ku-

*) Niepokalane poczęcie.

chenkę, gdzie tylekroć wieczerali we dwoje. Z jaką dumą Rafael otwiera drzwi i wprowadza ją do pokoiku, tak ochędźnego i tak czyściutkiego, że zdawaćby się mogło, iż porzuciła go wczoraj za ledwie. Ten pokoić to zwierciadło życia biednego, opuszczonego ojca w ciągu trzech miesięcy wyczekiwania. Z jakim klimem rozradowaniem pokazuje jej teraz doniczkę miety, zieleniącą się w okienku, oprawiony w ramkę list i błękitny staniczek. Concettella znowu zaczyna płakać, i starzec patrzy na nią z lękiem i zmieszaniem.

Jakto więc nie jest szczęśliwa?

O jest, bardzo, bardzo. Concettella od trzech miesięcy żyje jak we śnie i wierzy w wiecznotrwałość snu. Łzy strumieniem płyną jej z oczu, ale nie znaczą śladów: to letni deszczyk, i słońce, mimo niego, uśmiecha się między chmurami.

Kum Łukasz, szczwany lis, miał tyle delikatności, że powstrzymał żonę, która już się rwała, aby uszczęśliwić przybyłą zwykłą swoją paplaniną. Kum ma dobry węch i wie, że nie należy zrażać Concettelli i przeszkadzać jej w pierwszych wylewach miłości rodzinnej, jeżeli się pragnie, aby nadal wracała.

Zawsze jeszsze będzie czas podkreślić zrećnie ich przywiązanie do starego, nakłaść jej w uszy, ile się musieli namęczyć, aby ukoić jego rozpacz, którą teraz postarają się rozmyślnie przesadzić, obiecując sobie wielki efekt, gdy zaczną opowiadać o litościwym oszukiwaniu, dzięki któremu go ocalili. Nie będzie nawet zbyt trudno tak rzecz nakreślić, aby Rafael sam wygłosił ich apologję.

Stojąc przy oknie, kumowie podzłwiają wspa- niały ekwipaż i układność służby, której aroganckie zachowanie uchodzi ich uwagi, i domyślają się sami reszty—przybytku bogactwa i rozkoszy. Z sum, rozsypanych dokoła syreny, wnioskuje o stopniu na miętności młodego milionera.

Biedna syrena przysiadła tymczasem skromniutko na łóżku uczciwej robotnicy, i każe staremu śpiewakowi ulicznemu opowiadać wszystko o sobie z całych tych trzech miesięcy, byle tylko on nie pytał o jej życie.

— Myślałem tylko o tobie, robiłem pudełko, dużo zarabiałem, trochę mi było markotno, że nie mogłem wychodzić z Sciosciammocą, ale wtedy starałem się myśleć o tobie. — Zawsze ten sam *refrein*, i Concettella widzi go teraz takim, jakim go nigdy nie znała, — teraz, kiedy jest zapóźno.

Wszystko jej opowiada, porwany złudzeniem, i gnany niepowstrzymaną potrzebą wywnętrzenia się, a więc i o owych drobnych wybiegach swojego czasu, kiedy chciał w nią wmówić, że się niczego nie domyśla, i o hamowanych wybuchach radości i o długich gawędach z Sciosciammocą. Poczem idą pochwały, które w tych ustach ironja losu czyni wprost okrutnymi. Przed przerażoną młodą kobietą przesuwają się rozważne rady kumy Łucji, dowody wyprobowanej przyjaźni Łukasza, opowieść o policjancie i życzliwości wszystkich, natenczas w urzędzie. Wszyscy wiedzieli, wszyscy się cieszyli, tylko on musiał udawać nieświadomego i kryć się ze swoją radością.

— To mię bolało, wiesz, Concettella? Tak, to jedyna rzecz, która mię w życiu tak bolała. A trochę także i to, żeś mi nie powiedziała, że wyjeżdżasz... Ale potem zrozumiałem.

Dalej bolesne poszukiwania w Neapolu, tragiczna wyprawa nocna.

Concettella słucha, skamieniała. Poprzez potok beładnych słów, poprzez uśmiech błogości dostrzega mękę bezwinną duszy, potworną symulację, tkanką nieprzerwanie przez chytrą i chciwość. Co sobie w takim razie wyobraża ojciec? I udanie, które miało niby to być litościwem, a było naprawdę drapieżnem, rysuje się coraz wyraźniej ponad falą niepowiązanych

zdań. Błada istota, której nigdy nie śniło się nawet, że wyrządza tak bezdemną krzywdę, pochyla się nad starcem, chwytając wynurzenia z niewinnych warg i przebiega wzrokiem tę ruinę, gdzie ponad próżnią otchłani pozostał tylko jedyny zrab owej kłamliwej wiary, a i tę jeden podmuch może obalić.

Rafał powiada jej właśnie, uśmiechnięty, o owym dniu, kiedy na drodze po Pompei, wiedząc że zrobi jej tem przyjemność, doniósł jej, że panicz jest w umarłym mieście, przypomina jej pierwszą więzankę narcyzów i mimozy, galon, który zostawiła niedokończony na wałku i pyta, czy panicz jeszcze jeździ konno, bo chciałby go kiedy zobaczyć z daleka.

Bije czwartą na schodowym zegarze:

— Muszę iść — mówi ona, podnosząc się z wolna, złamana.

— Już?

— Fryc czeka na mnie. —

Stary zwraca na nią bolesne spojrzenie. Nie widział jej od trzech miesięcy, a tak, jak dzisiaj, nie mówił z nią od lat, ma jeszcze tyle do powiedzenia! Ale żyłka na skroni Concettelli rysuje się fiołkową arabeską.

— Gdzie są tamci, kum Łukasz i żona? — Krew kipi w niej od gniewu.

— Nie wiem — odpowiada przerażony człowieczek.

Concettella widzi go w świetle, które pada mu prosto na twarz. Biedny, stary ojciec, jak strasznie zmizerniał, jaki jest słodki i cichy! Pracuje nad swemi pudełkami, bo nie chce, żeby mu zwracano w pieniądzech miłość córki, którą mu wydarto. I szkaradny pieniądz idzie w chciwe łapy, tak, teraz ona widzi to wyraźnie.

— Prędko przyjdiesz?

— Prędko.

— Mieszkacie w pięknej willi?

— Nie, dalej, w Sorrento.

— A matka?

— Niema jej....

— Kocha cię już teraz?

— ...Tak.

Staremu błyska nieśmiała nadzieja:

— W takim razie... mogę czasem wyjść z Scociammoccią, bez gitary?

— Rozumie się—odpowiada młoda kobieta, nie rozumiejąc, o co chodzi, pogrążona w myślach. On, uszczęśliwiony, zabiera się, by ją sprowadzić.

— Nie, ojcze, pozwólcie mi iść samej.

Schodzi ze schodów, nie tak lekko, jak na nie wbiegła, słyszy głosy dwojga chciwców i zapala się wzgardą... Mija ich drzwi, czując, że nad domem wisi niepokonany fatalizm. Stary jest w ich rękach, mogą mu jeszcze wyrządzić dużo złego.

Błada i zmrożona, we mgle muślinów i koronek, siada do powozu, który unosi ją szybko ku chwilowemu jej życiu, splecionemu ze słońca i zapomnienia. Rafael z okienka w dachu widzi ją odjeżdżającą, taką, jakiej z czasem zacznie jej szukać wszędzie: białą zjawę, ulatującą w dal, przy miarowym tętnie koni.

* * *

I znów zegar począł wybijać opuszczonemu samotne godziny: ale skazówki już nie tak wolno przesuwały się po tarczy. Tik-tak, tit-tak. Człowieczek na każdą minutę miał inny piękny sen do roztoczenia i inny obraz, do którego się uśmiechał.

Para szubrawców, z troskliwością, która go wzruszyła, zaczęła go wypytywać o szczegóły odwiedzin i pobytu Concettelli w Sorrento. Tak się interesowali, kochani przyjaciele! Chcieli wiedzieć wszystko

i podniecili go do opowiadania, słuchając z pełną przejęciem uwagą.

On nic więcej nie pragnął, jak właśnie odmienić do nieskończoności swą muzykę na jedyny temat, a kuma Łucja często zadawała mu pytania dla zachęty.

— A powiedzieliście jej, ileśmy się nakłopotali o was w czasie... wiecie kiedy?

Czy jej powiedział? Concettella płakała z rozzewnienia, biedna dziecina.

— Nie zapomnieliście jej aby wspomnieć, że jadacie razem z nami, i że ja za was zmywam?

A jakże, i to też, i Concettella chciała by podziękować.

— Widzieliście, żeśmy nie weszli, żeby wam nie przeszkadzać. Kiedy przyjedzie za następnym razem, wezwijcie nas.

Tłuściocha przybierała patetyczny głos, jak w czasie wielkich wydarzeń: śmierci Rusinelli, spadku Łukasza, odnowy zastawów. Wszelako skromne zachowanie lichwiarza było jeszcze bardziej wzruszające, aniżeli deklamacja żony.

Człowieczek rozczulony marzył złote góry, a tymczasem dokoła niego rozbrzmiewał chór pochwał na cześć Concettelli. Boska muzyka i nieznanne upojenie pochlebstwem przesiąkało mu do mózgu, spowijając go w obłok czaru.

O! życie było jeszcze piękne, a czas mknął chyżo na rozmowach o oddalonej.

Przez pięć czy sześć dni nie myślał, by wyjść z domu, krążył jak błędny po ogródku, pieścił krzewy róży, które musnęła biała jej sukienka, wpatrywał się w żwirek, po którym przeszły jej stopki, obciśnięte lśnąciami trzewiczkami. Jaka była cudna, jaka cudna! A potem biegł na poddasze, gdzie przepędziła z nim tyle godzin, siedząc na łóżku pochyła i słuchająca, dotykał przedmiotów, caował małe lus-

terko. Przez cały dzień biegał na górę i na dół, a za nim gonił uszczęśliwiony Sciosciammocca, oraz pelen pobłażania wzrok matrony.

— Niedługo przyjdzie, przyjdzie, przyjdzie — podśpiewywał na ulubioną nutę, która zdawała mu się stłumionym akompanjamentem wiolonczel i kontrabasów.

Tak samo śpiewał: „idziemy do niej, do niej, do niej” w pewne kwietniowe popołudnie, na drodze do Neapolu. Dziś smutne dni przeminęły, jedna śnieżysta zjawa zatarła wszelkie udreki.

Przyjdzie, przyjdzie... I nie przychodziła. Pierwszy raz spłynęła we wtorek, czekał zatem do następnego wtorku i doznał wielkiego rozczarowania, kiedy przy zapadającym zmierzchu musiał pogodzić się z myślą, że już jej dziś nie zobaczy. Wtedy to przypomniał sobie, że uzyskał pozwolenie wychodzenia, kiedy zechce, z Sciosciammocą i bez gitary. Następnego dnia, natychmiast po obiedzie, wszedł do izdebki, wzięt odświętne ubranie, z tyle drogiemi sobie latami, a pewny, że kuma przyjmie postanowienie zwykłą gderaniną, uciekł się do niewinnego podstępu i przemknął się na palcach koło argusa, który właśnie odbywał drzemkę na krześle w sieni. Chytry piesek wybiegł za nim, nie szczeknąwszy ani razu, i nawet drzwi nie skrzypnęły, kiedy zamykał je za sobą po cichutku. Przypadek, czy też przeznaczenie, sprzyjały jego eskapadzie.

Znalazłszy się na szosie pod rozpalonem sierpniowem słońcem, doznał w pierwszej chwili wrażenia dużej przykrości, jakiej nie doświadczył nigdy, w całym swoim dawnym życiu włóczęgi. Oślepienie oczy nie mogły znieść zbyt jaskrawego światła i chowały się przemocą pod osłonę powiek, kolana uginały się pod wątlym tułowiem, a cały świat dokola mącił się i wirował.

Za wielkie było jednak szczęście wyrwania się

dobrym przyjaciółom, prawo swobodnego krążenia, gdzie dusza zapagnie, po drodze, zawsze pełnej ruchu i urozmaicenia, która przybierała pozory prawie, że żywej istoty i której zmienna fizjonomia nie miała dla niego żadnych tajemnic, Szedł na los szczęścia, prosto przed siebie, poddając czoło powiewowi morskemu, który chwilami wlewał się w rozpaloną atmosferę. Powoli porażenie, jakie dotknęło w pierwszej chwili osłabione przez zamknięcie zmysły, zaczęło ustępować rosnącemu podnieceniu ducha. Sztuczna energia płynąca z poczucia radości i dumy, oraz wytężone wiecznie ku jednemu przedmiotowi pragnienie, wspierały opadnięte nerwy tej przedwczesnej starości. Nawet to ogniste słońce, lubo narazie oszłomiło go, po chwili zaczęło rozpalać mu żyły i wlewać w nie miłość życia, którem upajał się jak szlachetnem winem.

Dokąd iść teraz, kiedy jest panem swojej woli, i kiedy cały świat do niego należy? Rozumując jak dzieci i najpierwotniejsze istoty, Rafael nie miał najlżejszej wątpliwości, że skoro Concettella zjawiała się u niego przed ośmiu dniami zaraz po południu, to ta najupalniejsza godzina dnia musi być ulubioną porą jej przejażdżek. Jeżeli zatem jest poza domem, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pragnie także zbliżyć się do niego, nie będzie mu trudno spotkać się z nią. Już zdaleka zobaczyłby nadjeżdżającą i zawsze jeszcze zdążyłby ukryć się za drzewem, gdyby była w towarzystwie. Do tego jednak koniecznie były drzewa, więc człowieczek, podążając za swoją marotą, zwrócił mimowolnie kroki ku Pompei. Na tej tak dobrze znanej sobie drodze, biegnącej między dwoma szeregami drzewek, wzdłuż odkopanych zawalisk, spotykał ją tylekroć, powracająca ze mszy w cudownej kaplicy, a razem ze wspomnieniem miejsc wyryło się w jego mózgu wzrokowe wrażenie czarnej,

smukłej postaci, która sunęła w słońcu na tle zielonego obramowania.

I jakkolwiek wydawało mu się najzupełniej nieprawdopodobne, aby o tej godzinie i w tem miejscu spotkać mógł powozy, spostrzegł ich odrazu dwa — oba wynajęte — koło kępki chudziutkich drzewin. Woźnice wysypiali się smacznie, a szkapy, zaprzęgnięte do zakurzonych landar, opędzały się cierpliwie muchom, bijąc się po bokach długimi ogonami.

Wyobrażenie powozu było obecnie w zdiecinalnym umyśle starca jednym z tych, które nie-rozróżnialnie wiązały się z Concettellą. W najwyższym podnieceniu i z nieślabnącą nadzieją począł kręcić dokola pojazdów. Woźnice wszelako, zmożeni spieką, spali głęboko i nie mieli najmniejszego zamiaru budzić się, mimo że Rafael wpatrywał się w nich z uporem. Rozczarowany, ruszył ku bramie wykopalisk i zobaczył mrukliwego dozorcę, który również walczył z nieodpartą pokusą skłonienia się w objęcia Morfeusza.

— O! kogo widzę? — zawołał, przyjemnie zdziwiony, i gotów wdać się w gawędę, byle oprzeć się podszeptom usypiającego bożka. — Myślałem żeście umarli! Cóż to udajecie pana, że tak wyglądacie?

„Udawać pana” w gwarze dozorczy znaczyło: wychodzić ze szpitala. Rafael zaprzeczył z uśmiechem. Zarzucił dawne rzemiosło, pracuje w domu, ot i cała sprawa.

— W domu? — Rozmówca zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i zaczął twierdzić, że lepiej wygląda...

— Szczęśliwiście wy, co nabiliście trzos i możecie żyć z renty! — Tu weschnął, myśląc o drzemce, którą uciąłby tak chętnie, gdyby czapka z lampasem nie nakazywała mu mieć otwartych oczu.

Człowieczek, zgnębiony, zaczął protestować: był

zupełnie niezdolny do nabljanja trzosa. Potem, widząc, że mrukliwy towarzysz znajduje się wyjątkowo w wene-gadania, postanowił wydobyć z niego szczegóły, które go zajmowały.

— Dużo cudzoziemców? — zapytał, wskazując wzrokiem wewnątrz ogrodu.

— Dwóch tylko, i to z takich, co przyjeżdżają koleją, — mruknął woźny, spojrzawszy z ukosa w stronę muzeum. — Dwóch przeklętych anglików, z owego warjackiego plemienia, któremu nigdy nie gorąco i które nigdy nie sypia. Założę się, że przywieźli ze sobą śniadanie w kieszeni. I już nawet od napiwków oduczyli się dzisiaj.

— A powozy?

Rozwscieczony dozorca złagodniał nieco, spojrzawszy na pojazdy.

— O, ci to są państwo. Dali mi dwa franki. Przyjechał z Sorrento, zobaczyć nowe wykopaliska. Bo znaleźliśmy moc nowych rzeczy. Trupy, ho ho, wspaniałość! Jeżeli przyjdziecie którego czwartku, pozwolę wam może wejść. Jak nikogo nie będzie. — Obiecywał łaskawie, to co było prawem każdego, ale Rafael nie zdawał sobie z tego sprawy, uderzony taką wielkodusznością.

— Czy nie wyszli jeszcze? — jękał się wzruszony.

— Tamci? Ah. — I znowu zaczął go lustrować od stóp do głów. — Powiedziałem wam przecież że to państwo. Przyjechali dziś rano cichutko temi landarami, obejrzeni wszystko a potem poszli do hotelu. Don Prospero musiał wymyśleć nie byle obiad! Jest jeden książę, jeden margrabia, wszyscy z Neapolu, dalej jakaś para.

— A ona jak ubrana? — odważył się zagadnąć Rafael.

Zmiażdżyło go trzecie z kolei wzgarzliwe spojrzenie.

— Ho, ho, co to jesteśmy? Krawiec? A więc: była ubrana biało, rozumie się.

Pohamowanie wzruszenia kosztowało Rafaela niemało trudu; wysłuchał cierpliwie dalszej paplani-ny dozorczy, z obawy, by go nie urazić, i czekał, jak-
by się tu wymknąć, nie będąc nieuprzejmym. Coraz to przemyślniejszy stawał się teraz ten stary ojciec, cały pogrążony w marzeniach o córce.

Szukają was — wyrzucił szybko, dostrzegłszy owych dwóch przeklętych anglików, i ledwie dozorca zdążył się odwrócić, czmychnął cichaczem. Kręcił się wokoło hotelu, prześlizgując się ostrożnie pod murem.

Gdyby tak przyłapać Carluccia usłyszeć coś od niego! Cień człowieczka padł po pokoju. Młody tłusty służący wyszedł na próg, ale go nie poznał w starym ubraniu rybaka.

— A kogo to szukacie, ojczy? zapytał uprzejmie.

— Carluccia, kuchcika — odparł stary, ośmie-
lony, i zdobył się na niesłychaną odwagę, aby zapy-
tać, czy go nie można wywołać.

— Zaraz zobaczę — brzmiała odpowiedź.

Rafael czekał ze drżeniem. Upłynęła minuta, która wydała mu się wiecznością. Słońce piekło go w plecy, szkarłatna łuna krwi wybiła mu na kośćci-
ce policzki, Sciosciammocca, przysiadłszy na ziemi, wpa-
trywał się weń przenikliwym wzrokiem psa-filozofa: Pan jego od niejakiego czasu zaczyna popełniać szaleństwa.

Naraz od okrągłych ślepek, wlepionych w jego twarz z pytającym wyrazem, padł nań niepokój który przemienił się w dziki strach, kiedy przez salę parterową przeszedł służący z tacami. Gdyby tak Concettella wyszła w tej chwili? Postanowił puścić się w nogi, jak warjat, nie oglądając się za siebie, cóż kiedy te biedne nogi dygotały coraz bardziej i czuł, że gdyby zrobił choć krok jeden, zwałiby się na próg i nie miał już siły powstać.

Pucułowata twarz kuchcika ukazała się w głębi, w cieniu uchylonych drzwi, rozglądając się ciekawie. Poznawszy starca, chłopiec podniósł ręce ruchem zabawnego zdziwienia i przebiegł na palcach salę, ostrożny i przerażony.

— Widzieliście? — spytał tajemniczym szeptem.

— Tak — odrzekł stary, chwytając w lot treść tych słów, i z miną równie tajemniczą.

Carluccio w szerokich gestach dawał wyraz osłupienia.

Służący jeden, który ją znał z widzenia, powie-
dział mu, że to ona. Nie chciał wierzyć. Wtedy przez jakąś dziurkę kazano mu na nią spojrzeć. W pierw-
szej chwili nie mógł jej poznać, taka zmieniona, z tym
wyglądem księżniczki i z palcami, lśnąciami od pier-
ścieni. Ale potem odwróciła się i zaczęła mówić. Ależ
rozumie się, że to ona, jej głos, jej oczy, wszystkol

Chłopak, oglupiały, ilustrował fakty nieustanną mimiką. Concettella ruszała się w ten sposób, obra-
cała tak a tak, bawiła pierścionkiem na palcu, uśmie-
chała się, obierała brzoskwinię, poprawiała włosy...

— Ale ale... już nie ma czarnych włosów. Chwi-
lami, kiedy spuszcza głowę, ma prawie takie, jak ja...

I mały kuchcik, spuścił również głowę, pełen
zadowolenia, aby pokazać rudawą szczecinę, ostrzy-
żoną przy samej skórze.

Żebyście wiedzieli! Są z nią prawdziwi mar-
grabiowie i księżęta. Sami milionerzy. Coś bajecznego!

Rafael wylupił oczy, porwany bezdennem za-
chwyconiem.

— Mówią jej: pani, i traktują jak króowę. Musi
być prawda, że się z nią ożenił, tak mi mówił służący.

— Wiadoma rzecz — potwierdził z godnością
ojciec.

— Kum Łukasz nie mówił ani tak, ani nie —
ciągnął dalej wyrostek — a kumy Łucji wcale jakos
nie widać. Ale w Torre nie wierzą.

— Chyba tylko źli ludzie — oświadczył człowieczek z płonącymi policzkami i nachmurzoną brwią.

— Gdybyście wiedzieli, co zakolczył! — I Carluccio snuł dalej swój pełen zachwytu opis, cały spotniały i wstrząśnięty niesłychanym wydarzeniem, którym dane mu było zdumiewać świat. Nie czuł już urazy, że go sromotnie odpalono. Wynagrodził mu to dziś sowicie ten skromny tryumf, i inny jeszcze, odniesiony w kuchni, kiedy opowiadał służbie, że to on właśnie miał się żenić z tą piękną panną, ale z czasem poniechał zamiaru, bo nie nadawała się na żonę dla niego, ubogiego człowieka. Skoro miłość własna została w taki sposób ocalona, nie było już żadnego powodu, aby nie miały mu pochlebiać dawne stosunki z tą bladą i wyniosłą istotą, która zresztą onieśmiewała wszystkich, a zwłaszcza jego. Jak dobrze zrobił, że nie ożenił się z Concettellą! Prawdziwie, Carluccio wdzięczny jej był, iż okazała tyle zdrowego rozsądku.

— Co mogę zrobić, żeby ją zobaczyć, niewidziany? — zapytał Rafael, pewny, że znajdzie poparcie u młodego przyjaciela. Carluccio namyślił się przez chwilę; pochlebiali mu, że może ujawnić swoje machiavelskie zdolności.

— Macie pieniądze? — zagadnął.

Człowieczek wydawał się zakłopotany.

— Pożyczę wam — oznajmił wspaniałomyślnie kuchcik. I wsunąwszy rękę do kieszeni, wyliczył franka drobnymi. Potem zaciągnął starego do sali.

— Uważajcie dobrze, *masto Rafaè*. Tamci są na piętrze i tylko patrzyć, jak zejda, bo już szmat czasu, jak skończyli, i nie wiedzieć na co czekają. Zażądajcie wody sodowej i usiądźcie tu, w kącie, po ciemku. Ja wszystko pozamykam!..

Wykonywając jednocześnie to, co mówił, wdrapał się ze zwinnością wiewiórki na okno i zatrzasnął z hukiem okiennicę.

— Sciosciammoczę wezmę do kuchni, dostanie do wylizania rądle, a gdyby chciał uciekać, zamknę go pod schodami.

Chwycił psa, i wziął go na ręce.

— ... A teraz zawołam służącego i dam mu zamówienie. Wy siedzicie jak trusia i nie ruszajcie się stąd. Nie zobaczą was napewno. Hej, Józe!f

Józef, młody, otyły służący, przywłókł się ociężałym chodem.

— Małą sodową dla pana — rzucił z godnością kuchcik. — Zapłaćcie mu zaraz i dwa soldy na piwo.

Służący odszedł, powłócząc nogami.

Inny służący przeszedł przed salę.

— Co tu za ciemnica?

— Chłodniej jest w ten sposób. Don Prospero kazał mi pozamykać.

— A niech sobie — bąknął tamten, odchodząc.

Józef przyniósł tacę, odkorkował butelkę i wyszedł.

— Już mogę iść. A jeżeliby Sciosciammocca...

Posłuszny jest — zapewnił stary — Idź z Carlucciem, piesku!

Carluccio roześmiał się i od półotwartych drzwi obrócił raz jeszcze czerstwą, pocziwą twarz w aureoli kucharskiej czapeczki.

Drzwi zamknęły się bez szelestu i Rafael został sam w prawie zupełnej ciemności.

Wszystko to dokonało się z taką szybkością że zastrachany człowieczek nie miał nawet czasu połapać się, a tem mniej sprzeciwić. Carluccio wyciągnął go, posadził, usłużył, kręcąc się jak fryga, i ani na chwilę nie zamknął ust, nie zważając na jego gesty.

Teraz już nie było ratunku, Rafael siedział w ciemnym kącie nad swoją musującą butelką, skulony, i nigdy nie byłby znalazł w sobie dość siły,

by wstać i wymknąć się cichaczem. Bał się, że wpadnie na kogo, że go wezmą za złodzieja, lub, że na krzyki służby nadleci Concettella i panicz, którzy, jak powiedział kuchcik, byli już na wychodnem.

Czekał, wtulony w kąt, z głową wciśniętą w ramiona, niby wylekły ptak. Serce biło mu tak mocno, że w uszach czuł odgłos głuchego tętnienia i bał się, że może jeszcze kto, przechodząc, usłyszy. Niezdolny myśleć o czemkolwiek, poza własnym strachem, nie mógł się nawet radować bliskiem zobaczeniem Concettelli. Gardło miał spiekle, wargi suche, w głowie żar nie do zniesienia, jednak w obawie zdradzenia swojej obecności, choćby najlepszym ruchem, nie śmiał nawet dotknąć lodowatego napoju.

Czekał parę minut i mniemał, że przyszła już może jego ostatnia godzina. Z góry zbliżały się ku niemu głosy — na schodach, jak mu się wydawało — głosy męskie, nieznane, które stawały się coraz wyraźniejsze, aż rozebrzmiwały w sali obok niego.

— Jak tu ciemno! — Jeden z przybyłych, idąc za jasną smugą na podłodze, skierował się ku drzwiom i otworzył je na oścież na słońce. Jasny snop światła wdarł się do pokoju, rozcinając go na dwie połowy: jedną całą złotą, drugą, w przeciwstawieniu, jeszcze mroczniejszą. Rafael, który zacisnął powieki i zdusił oddech, spróbował powoleńku otworzyć jedno oko, czując bezwiednie, że ciemność chroni go w dalszym ciągu. Dwaj młodzi panowie, ubrani całkiem biało, począwszy od obuwia, a kończąc na miękkich kapeluszach, stali na progu i patrzyli ku zewnątrz.

— Jabym radził iść piechotą — odezwał się jeden, rzuciwszy okiem na drogę. — Dorożek nie znajdziemy. Widać, że chłopiec ani myślał dać znać stangretowi Fryca.

— Tak jak przyjechaliśmy w jedanaście osób

w dwóch landarach, tak możemy i wrócić, z hałasem, żeby ściągać ludzi do okien — zauważył drugi z flegmą. — *C'est moins chic mais plus épatant.*

Tak, tobie przypadła lwia część — odciął się pierwszy, urażony. I pociągnął dwa czy trzy razy papierosa, stukając nerwowo obcasem.

— Nie bawiłeś się? — zapytał flegmatyczny towarzysz, wysoki blondyn z monoklem.

— Uff! wynudziłem się za wszystkie czasy — odparł nerwowo brunecik z niespokojnymi oczkami. — Ty nie?

— Ja bo przepadam za wszystkim, co nieprzewidziane — wycedził ironicznie blondyn, strącając monokl, gdy tymczasem rozmówca jego zatrzymał w połowie drogi rękę, którą podnosił do ust z papierosem i czekał, co też zadecyduje wyrocznia o najnowszym bziku przyjaciela jego i współzawodnika, Fryderyka Meyera.

Gigi Squillace ciągnął dalej:

— A wszystko było nieprzewidziane w tej warjackiej wycieczce: landary, które zapelniały się po drodze jak dyliżanse...

— Zabierając także i mnie, na nieszczęście...

— Z zupełną twoją zgodą.

— Przepraszam, tylko przez ciekawość.

— Dajże mi skończyć! Przez wspaniałomyślność Fryca, który łaskawie pozwolił nam zbliżyć się do swojej bogdanki. Potem kurz, mumje, potrawy don Prospera, wreszcie *l'air grande dame* z jakim ta mała koronkarka przyjmuje nasze hołdy.

— To Fryc tak ją postawił wobec nas. Uważałeś, jak ją traktuje? Conajmniej, jakby była żoną. I chce, żebyśmy robili to samo.

— Fryc jest bardzo *correcte* — zawyrokował Squillace, ironiczny więcej, niż kiedykolwiek. — Ale i ty byłeś *irreprochable*. Winszuję, winszuję! Po tobie spodziewałem się bezwzględnie jakiegoś głupstwa.

— Dziękuję—odpowiedział brunet bez urazy.—
Byłem widać kiep, jak wy wszyscy.

— Ja, mój drogi, za dobrze znam ten gatunek
i nic mię już nie dziwi.

— Gatunek, który mi nie odpowiada. Wolalem
Manette, była o wiele zabawniejsza.

— Manette nie myślała wydawać się za mąż.

— Co takiego?!

— A tak, widzisz.

— Czyżby Fryc do tego stopnia zidjociał?

— Wam, młodym ludziom, wszystkim mniej
lub więcej się to przytrafia.

— O mnie nie możesz chyba tego powiedzieć—
sprostował z emfazą brunet.—Przez Manette zabrą-
łem w długi, ale...

— Manette nic więcej od ciebie nie żądała.

Pippo Torrese zamikł.

— Natomiast piękna lilja z Torre del Greco...—
ciągnął szyderczo Squillace.—Eh, ale ty przecie nic
nie wiesz. Ta cała głupia awantura pachnie roman-
tyzmem. Mieliśmy już i komedję uczucia i spazmy
i bronienie się i wyrzuty sumienia, kto wie? może
nawet i próbę samobójstwa? Co do tego punktu zu-
pełna tajemnica. Któregoś pięknego poranka spadają
mi nagle z Paryża. Wprost do Sorrento: willa, konie,
służba—powarjowali. No a teraz zaczęła się malować,
czy dlatego, że wszystkie piękności paryskie się ma-
lują, czy też na moją cześć.

— Na twoją cześć?

— A no tak. Czy nie wiesz, że to ja ją wy-
kryłem? Fryc jest zazdrosny jak turek, ale dla mnie
powinien mieć wdzięczność, bo gdyby nie to szkiełko...

Zarzucił je na oko z wytworną niedbałością.

— Było to któregoś wieczora w Salonie Marghe-
rita. Magnetyczne stworzenie, *mon cher*.

— Magnetyczne — powtórzył ze zdziwieniem

Pippo Torrese. — Więc sądzisz, że Fryc naprawdę
myśli o...

— O moralnem samobójstwie? Słuchaj Pippo,
nie oplakuj go za wczesnie a tem bardziej, nie ciesz
się z góry. Jest na szczęście ktoś, kto ma głowę za
niego. I ręczę ci już dziś, że się z nią nie ożeni.

— Czy wiesz coś takiego, spytał zaciekawiony
brunet zapalając gasnącego papierosa.

Gigi Squillace oparł się plecami o ramę drzwi,
wypuścił z ust kłęb błękitnego dymu i zaczął mówić
jakby od niechcenia:

— Zapominasz, mój chłopcze, że byłem kandy-
datem do serca Minny Meyer po śmierci pocziwe-
go piwowara. Nie doszło między nami do ostatecz-
nego porozumienia, ale pozostaliśmy nadal w ser-
decznej przyjaźni. Zachwycająca kobieta. Ma pogodę
umysłu i dużo arystokratycznego sceptycyzmu, który
mógłby stanąć obok mojego. Wartaby być księżną.

— Gdyby nie to że pocziwy piwowar zapisał
jej jedynie dożywocie—dokończył Pippo Torrese.

— Sprytny z ciebie młodzieniec! ale i jej nie
brak zmysłu praktycznego. Jak przypuszczam, wyje-
chała do Niemiec w celu wynalezienia sobie nowego
milionera na małżonka. Pisała mi stamtąd z powodu
Fryca. Wystaw sobie. zwraca się do mnie, abym się
podjął roli Mentora wobec tego Telemaka, który zna-
lazł się w niebezpieczeństwie... W zamian za tyle
zaufania pozwolę sobie służyć praktyczną radą.

— *All right*. Gigi Squillace jako Mentor i kie-
rownik. Przepyszny pomysł!

— Nie taki zły jak sądzisz, sam oceń.

Głos z ironicznego stał się zjadliwym.

— Najpierw poradziłbym, aby naszemu rozbry-
kanemu żrebakowi, jeszcze i nadal zostawić cugle na
szyi. Powtóre należy przez ten czas wygrzebać, jakąś
małą Gretchen, możliwie jakąś kuzyneczkę, jakąś pierw-
szą miłość, jednym słowem coś nawskroś sentyimen-

talnego dla naszego niemieckiego serduszka, która gotowe zawsze rozpiwać się jak pomadka.

— Jakaś bogatą dziedziczkę, rozumie się.

— Ja tam nie wchodzę w drobiazgi prywatnej natury. To już rzecz samej mądrej Minny.

— Tak na oko, to wszystko idzie na odwrót.

— Poczekajmy. W tem moja siła. Potrzebie: Znalazłszy magnes, mądra Minna, która dzięki rozumnym zarządzeniom w ostatniej woli poczciwego piwowara, posiada środki nie lada, powinna któregoś dnia couper les vivres i nakazać uległość.

— Faktycznie strategia godna pochwały.

— Fryc przyleci błagać o zawieszenie broni.

— Dobrze, o ile magnes będzie działał. Ale o ile zawiedzie?

— Z Frycem? Daję mu tydzień dla zakochania się na śmierć.

— Hm. No a jeżeli nie przyleci?

— Niech i tak będzie. Wystaw sobie Fryca, który już niema kredytu u dostawców, u lichwiarzy, u służby u wszystkich *habituës* z *trente et quarante*. Jak ci się to podoba? Jakbym go już widział, skrobiącego na gitarze po ulicach, w towarzystwie swojej pięknej, która, jak się zdaje, jest córką jakiegoś starego błażna, linoskoczka.

— Ha, ha, ha...—Pippo Torrese śmiał się do rozpuku.

— Coż tu tak wesoło?—odezwał się głos poza nimi.

Był to młody baron Cortes, który wyprzedził nieco towarzystwo.

Ze schodów dobiegał już rozgwar głosów i echo kroków.

— Mówiliśmy o Lys de la Tour — odpowiedział Squillace ze zwykłą nonszalancją.

— Lys de la Tour?

— Tak, znalazłem już imię dla pięknej Concetty, kiedy ukaże się w Variétés jako divette paryska.

— Tsss—przerwał Cortes—nie widzicie, że tu ktoś jest?

Wskazał ciemny róg, a w rogu czarny, nieruchomy kłębek.

— Śpi—odrzekł Torrese, wzruszając ramionami.

Wiecie już o nowinie?—odezwał się Cortes — Dama czuje się niedobrze i czekają na karetę. Fryc jest nieszcześliwy.

Nowa grupa młodych elegantów wtargnęła do sali.

— *Pas de chance*.

— Piękna Concetta wymawia się od naszego towarzystwa.

Biedny Fryc.

— Dlaczego? Jeżeli ma być taka milutka?

— O dwie osoby mniej. Będzie nam wygodniej. Gdzie są powozy? Prędko!

Ktoś ze służby wybiegł przed dom, zawołać stangretów. Głosy i śmiechy rozprysły się w oddaleniu. Służący wrócił i patrzył ode drzwi. Sala była znowu ciemna i cicha.

* * *

Z czarnego kłębka wrywa się westchnienie. Z pomiędzy skulonych ramion wynurza się zamrtaiała twarz i bada ciemności, wpół oszołomiona. Nikły, chwiejny cień dzwiga się z trudem i posuwa lekliwie wzdłuż błyszczącej smugi, która przerywa pokój. Jeden nadludzki wysięk i drzwi są otwarte.

Na dworze wielkie, rozgorzałe słońce, biała, przerażająca pożoga na pustej drodze.

Mały czarny cień leci, leci po przeklętej szosie, która go tu przywiodła na zatracenie.

Do starego mózgu, niezdolnego pochwycić

w całości potwornej rozmowy dwóch cyników, przedarły się jednak strzępy okrutnych zdań, niby bezjitosne żądła:

— ...Jakgdyby była żona... Ręce ci, że się nie ożeni.... Stary błazen, linoskoczek...!

Zabójcze słowa! Zrozumiał wszystko. Oszukiwali go przez cały czas! Concettella jest zgubiona, panicz ją rzuci, ma się żenić z inną, a to wszystko z jego winy, wszystko dlatego, że Concettella jest jego córką...

Mały czarny cień leci, leci drogą, która była widownią jego czarownych złudzeń, autor i aktor odegrał ostatni akt swojej samotnej tragedji.

Niebo piecze, droga piecze, pieką drzewa, domy, a w oczach starca jarzy się białe światło, co przewierca powieki, skronie mu tętnią, głowa pali się ogniem, którego wycierpieć nie sposób, zdaje mu się, że jest na stosie i płonie jak chróst. Nad jego głową pożoga słoneczna nie gaśnie i nieszczęśliwiec, zżerany gorączką, pędzi i ucieka od tych promieni, co mu przeszywają czaszkę jak rozpalone sztylety.

Leży na łóżku Concettelli, z porażonym mózgiem, i bezprzytomny przyzywa córki, mającąc dzień i noc. Dwa czy trzy razy wydaje mu się w malignie, że widzi schylone nad sobą drogie oblicze. Więc wyciąga ku zjawie ramiona. Ale to nie ta twarz utęskniona, owe krucze włosy, które widział po raz ostatni w obłoku koronek, gdy oddalała się od niego, unoszona, przy odgłosie miarowego tętentu koni. Ta głowa płonie, jak słońce nad przeklętym gościńcem, z błyszczących splotów wyrwywają się czerwone języki płomieni, które owijają się dokoła niego, i szarpia mózg, i migocą jak iskry przed rozwartą przerażeniem żenicą. O, krucze kosy jego Concettelli, orzeźwiający jak cień, słodkie jak wypoczynek!

Odgania drapieżną zmore, która się obleka

w najdroższą mu postać, by do ostatnich granic rozpalic ogień ów, który go trawi.

Concettella odchodzi, łkając. Co mu się stało? Nikt nie wie. Wymknął się kiedyś z domu w upalne popołudnie, musiał nieopatrznie latać po słońcu...

Lekarz potrząsa głową—to dogorywanie rozumu.

* * *

Przepowiadali mu wszyscy, że kiedyś skończy w ten sposób.

Na krętym, oprawnym w błękit i zieleni gościńcu, który od zgiekliwego Neapolu przenosi nas powoli w samotnie zatoki castellammarskiej, do rozsiadłego po wyżach nad wodami Vico Equense i do zawisłego między morzem a górą Sorrento, stary obłąkany śpiewak uliczny, dawny *pazzariello* z Torre del Greco, stał się teraz popularną postacią, niby dziwnym a wesołym chochlikiem tych okolic.

Podróżnym, którzy owej purpurowej jesieni, po raz pierwszy, czy setny jechali wijącą się drogą gdzie między złotem niebem ponad Wezuwuszem, a tęczującą taflą morza śmieją się krwawe liście winogrodu, mała, zaczerwieniona od biegu figurka—kiedy nagle zjawiła się jak z pod ziemi, to z wyciem i gestem niezrozumiałego gniewu, to w niepohamowanym radosnem upojeniu, — mogła w rzeczy samej wydać się fantastycznym czy kapryśnym wytworem przyrody, zrodzonym na zalanym słońcem omiale.

Pojawiał się niespodzianie, wynurzając z ząpnia drzewa, odrywając od muru domostwa, czy od kraty ogrodu, zawsze dziwny i nieoczekiwany, z chudą twarzą, ułożoną w zabawny wyraz, z łagodnemi, dobremi oczyma pod białem czołem, którego nie marszczyły już wątpliwości ani niepokoje. Młode cudzoziemki, które widziały go po raz pierwszy, z zaciekawieniem pokazywały go towarzyszom, uba-

wione jego uroczystymi gestami powitania, jego ciąglem blażenstwem i małą twarzyczką przypominającą im maski. Uważały, że jest bardzo charakterystyczny dla Neapolu, który znały z opinii jako miasto blażnów i wiecznego karnawału. Te z nich, które tej samej jesieni zdążyły go już spotkać kilka razy, zaczynały się doń uśmiechać na pożegnalny gest, jaki posyłał im ręką, wpadając odrazu w smutek, gdy widział je odjeżdżające. Wreszcie starzy znajomi, wędrowni jaskółki, w których październik rozpala zawsze tęsknotę za słodkim Neapolem, za poetycznymi duszami kobietami, widząc go tak boleśnie zmienionym, nachylały się do woźnicy, żądając objaśnień. Często woźnice znali go i potwierdzali przypuszczenia:

— A tak, zwarzował, proszę państwa.

Ale na tym tułowiu, wyschłym na kość, a tak steranym, tak chwiejnym na nogach, że zdało się, iż się nie ostoi muśnięciu morskiego wietrzyka, spólcujące spojrzenia podróżnych natrafiały na dobrą, pogodną twarzyczkę, która poprzez obłoki kurzawy uśmiechała się zawsze do wdzięku młodości.

Znali go i w Torre i w Portici i w Resinie, i dalej, na szerokiej polaci dokoła umarłego miasta, i na drodze do Scafali, i na okraju przejrzystych wód, wzdłuż goścince z Vico Equense, który wspina się ku szczytom, ponad lazurową topielą, bluzgającą, przez stopy porytych krzesanic.

Wielu ludzi musiało zastanowić jego obłąkanie, choć mało kto domyślał się wstrząsającej tragedii ojcowskiej. Biedny, opuszczony, przesuwiał się pośród obojętnej rzeszy, budząc jedynie dwuznaczne szepty, a czasem niesmaczne uwagi, które miały niby oznaczać spólcucie. Niekiedy ktoś, bardziej jeszcze obojętny od otoczenia, pytał z udanym oburzeniem:

— Ależ dlaczego nie biorą go do zakładu?

Zawsze jakiś pobłażliwy głos podnosił się w jego obronie:

— Nie robi nikomu krzywdy, niebożatko.

I tak też było. Obięd łagodnej istoty nie był z tych, które mącą spokój otoczenia i budzą obawy; włóczęgowskie życie osierociałego nie wywoływało rumieńca na niczyje policzki.

Kum Łukasz i jego godna połowica, którym przyświecała nadzieja okazałego i stałego wynagrodzenia za opiekę nad starym, znaleźli już w pierwszych czasach jego rekonwalescencji najrzowniejsze akcenty i zdania, na jakie zdobyło się kiedykolwiek pełne spólcucia serce, a to żeby odwieść Concettellę od zamiaru oddania nieszczęsnego do domu zdrowia.

— Chcecie go zamknąć, tę biedną duszę, która żyć nie może bez powietrza i słońca? Czy nie widzicie, jak mu z tem dobrze, że może całymi dniami wałęsać się po drogach z psem i gitarą? Zawsze przecie był taki. Trochę mniej ma rozumu dzisiaj, ale Bogiem a prawdą, zawsze go miał niewiele. Czego tak rozpaczacie? Dajcie mu żyć życiem, do którego stworzony, a stu lat dożyje.

Tymczasem starzec uśmiechał się do złudnego widzenia wyobraźni, nie dbając o zropaczoną istotę, która daremnie szukała drogi do tej zamkniętej już dla niej na wieki duszy: ubóstwiana niegdyś, dziś była obca naraz i nie do poznania w płomiennym djademie malowanych włosów. I Concettella widziała go, jak zdejmował z kołka starą gitarę i klarnet, który pokazywał język dla zbudowania ludzi, jak powolutku, uśmiechając się do jakiejś ostatniej zjawy swojego pół-zgasłego mózgu, naciągał okrycie, nakładał na bakier cylinder na rzadkie, nieczesane włosy — wszystko to w milczeniu — jak wychodził na schody, i słyszała, jak się po nich spuszczał, potykając się o stopnie...

Stanąwszy w oknie dachówki, Concettella śledziła, spłakana, to jego wyjście. Oszołomiony, znalazł się na środku ulicy, zachowując ten dziecięcy uśmiech, który zaledwie rozchylił mu wargi. Sciosciammocca zadął mądry pyszczek ku stojącemu w niepewności panu i zdawał się pytać: węc dokąd pójdziemy?—Ale w tej samej chwili, na miarowy tętent naddiegających koni, stary porwał się, odwracając się gwałtownie, jakby uderzony znajomym wrażeniem, i mięśnie twarzy skurczyły mu się w wysiłku, aby przychwycić mętny jeszcze obraz jakiegoś wspomnienia. Nadjechał elegancki powóz. Postać siedzącej w nim brunetki, z twarzą zakrytą gęstą białą woalką, jakby rozświetliła nagle mgliste majaczenia myśli starca: niespodziewane wzruszenie zarysowało się najdokładniej. Z dzikim okrzykiem tryumfu, którego Concettella nie miała już zapomnieć do końca życia, stary rzucił się wściekłym pędem za oddalającym się powozem i gonił białe widzenie, znikające w takt miarowego tętentu koni — ostatnie, jakie przeżył przed obłędem i jedyne, jakie biedny, przyćmiony mózg potrafił jeszcze zachować.

Tego dnia obłąkanie starca uwydatniło się w istotnej swej postaci, wyobrażenie miało wyraźną treść i wyraźną radość. Znikł wyraz niepewności, który nadawał mu wygląd głuptaka raczej, aniżeli szaleńca, w oczach zaświtał jakiś płomyk świadomości i dziecięcy uśmiech nie schodził z warg ani na chwilę, rozlewając się po wyniszczonych rysach falą słodyczy.

Niekiedy pogrążony w długich, niemych monologach, z dradżanych przez poruszenie się warg, zdawał się zwierzać sam sobie radosne swoje rojenia i upartą wiarę, która go trzymała przy życiu. Dziwił się sam przed sobą, potrząsając głową i, gestykulując, zwracał się do nieznanых przyjaciół, z którymi widocznie dzielił swoją radość, wznosił oczy ku niebu we wdzięcz-

nem i cichem uczuciu, a potem znowu uśmiechał się i dziwił, aby nakoniec wybuchnąć nieartykułowanym okrzykiem tryumfu, podobnym do tego, który rozkrwawił serce Concettelli.

— Myśli że to ja—szepnęła owego dnia z gorzką domyslnością.—Już mię nigdy nie pozna.—I odeszła z tym nowym bólem, nie wiedząc, czy zdobędzie się na odwagę, by wrócić.

Nie wróciła. Ale jej nieobecność nie zaniepokoiła starca, który szukał jej w każdej młodej czarnej kobiecie, ścigając dorożki, ciężkie landary i pańskie pojazdy. Powoli zaczął te wszystkie młode postacie łączyć w jednym wspólnym uwielbieniu, i uśmiechał się do wszystkich, niewyraźnym, pokornym, a zarazem ojcowskim uśmiechem. To były towarzyski jego córki, wybrane istoty: przesuwaly się niepokalane wśród kurzu i błota życiowego wyniesione ponad biedny mrowiący się motłoch, dalekie od niego, który był tego motłochu, i dążyły ku owym zaczarowanym siedzibom, do których on nigdy nie będzie miał dostępu.

Nie odzywał się już wcale, ale zaczął na nowo śpiewać. Październik był ciepły i pogodny jak wiosna. Zakochane pary, młode małżeństwa w poślubnej podróży, wychodziły z powozów u bramy wykopalisk i, biorąc się pod rękę, znikaly w małym zielonym labiryncie. Gonił je sciszony przez oddalenie, patetyczny śpiew obłąkańca:

Si vuò venì cu mme mieze 'a lu mare.

A kiedy przejeżdżały landary hotelowe, pełne kraciastych ubrań, leciała za niemi swawolna piosenka neapolitańska, i na drogę wyskakiwał człowieczek o zabawnej figurce gнома:

Jammo, jammo, jammo, funiculì, funiculà!

Jednakowoż Sciosciamocca, który pewnego dnia, w warjackiej pogoni za jakimś powozem, zgubił swoją miseczkę, daremnie czekał, aż pan mu sprawi nową. Wspiął się na tylne łapki, aby podzię-

kować szanownemu towarzystwu, jak go nauczył jego poprzedni właściciel, jakiś linoskoczek i prestidigitator, lecz miedziaki padały w piasek i napróżno psina grzebała ziemię, aby zwrócić uwagę pana. Rafael nie dbał o podnoszenie. Na nogach od rana do wieczora, mimo zupełnego nieraz postu, nie cierpiał już głodu, ani pragnienia. Chyba tylko owa tryumfalna radość utrzymywała go przy życiu.

Wracał do domu późnym wieczorem, witany przyjacielską naganą kumy Łucji, która bała się go zrazić, i dbała teraz o niego, dzięki pensji, wypłacanej regularnie przez Fryca Meyera. Musiała przyrzadzać mu ciepłą zupę, czy inną pożywną potrawę, posuwając szlachetność aż do tego stopnia, że pozwalała mu maczać usta w kieliszku starego wina, które pakami przysyłała dla niego córka. Ku przykreemu zdziwieniu nabożnej niewiasty Rafael miał zawsze kieszenie ubrania puste, ale nie mówił już o wyrobie pudełek. Śmiło się wszystko w jego duszy: uczucia, wspomnienia, zgryzoty. Po osiemnastu latach bolesnego ojcostwa rozżarzone słońce sierpniowe i grom usłyszanej prawdy zgotowały małemu, chwiejnemu cieniowi płonący stos, którego płomień wyzwolił go od naddludzkich katuszy. Na pogorzeli dawnego światła ostał się tylko uśmiech śnieżnej zjawy, w otęczy koronek i muślinów, świeży i biały pod cieniami kruczych warkoczy, a uciekający w dal, ku szczęściu..

Rafael nigdy nie czuł w duszy tak bezdennej błogości, nawet kiedy latarnie przepowiedziały mu z za mgły tyle wesolych wydarzeń, nawet kiedy Concettella zjawiała się w ogródku, jakgdyby spływała z nieba. Bo wtedy zawsze na dnie serca czaił się niepokój, prawie zawsze zdawało mu się, że śni, i że kiedyś trzeba się będzie obudzić; teraz natomiast uczucie boskiej zupełnie pewności uśmiechało się w pogodzie obłądu.

* * *

Ale nie mniej wszyscy powtarzali, że wcześniej czy później musi skończyć w ten sposób...

Nadszedł listopad, a z nim dżdżyste dni, które nie zachęcają cudzoziemców do wycieczek. Na wiejskich drogach powozy pojawiały się rzadziej coraz a rzadziej, i Rafael zupełnie instynktownie zmienił cel swoich włóczęg, kierując się ku ludniejszym okolicom. Błąkał się często w stronach San Giovanni, otoczony natrętną dzieciarnią. Nieraz łobuzy wiejskie, poznawszy w nim tego samego człowieka, który zeszłego karnawału zabawiał gawiedź w błazeńskim stroju, otaczały go gromadą, drażniąc i kłując szyderczemi słowy.

— *Rafaè Rafaè Rafaè!*—śpiewali chórem, wytańcowując dokoła niego. Ale nie udawało im się zawstydzić ofiary; łagodny i cierpliwy nędzarz podnosił do ust klarnet i dął weń całą siłą wyniszczonych płuc. Instrument wywieszał język, wyprawiał historie i urwisy rozbiegały się z hałasem, aby po chwili obledz znowu starca, ciekawi i jeszcze bardziej natarczywi, aż póki obłąkany, przypomniawszy sobie jakieś błazeństwo z dawnej kariery, nie zaczynał dreptać, pokrzykiwać, wyrabiać grymasów, wymachując w takt rękoma i nogami ku uszczęśliwieniu rozwydrzonej hałastry. Była to jakaś farsa okrutna, już po zapadnięciu zasłony nad tajemniczą i wstrząsającą tragedją żywota.

Któregoś dnia, kiedy mżył deszcz i ulice San Giowanni były prawie puste. Rafael, wlokąc się krok za krokiem, dociągnął aż do portu. Na kotwicy stały dwa wielkie i piękne okręty niedaleko od *molo*, wokół roily się statki żaglowe, stare barki, łodzie ładunkowe i rybackie, oraz niezliczona moc czółenek, kołyszących się na zielonej fali. Stary stanął i patrzył zachwycony w mętne uczucie, że niegdyś tak strasznie lubił statki i morze, ale niemocen poprzez mgłę

rozeznąć swojej „*Immacolata Concerzione*” O, ta gęsta sieć pajeczka, która osnuła się na jego pamięci!

Niby wyszłe z użycia narzędzia, rzucone do jakiegoś starego składu, leżały bezładnie na dnie jego świadomości wszystkie dawne uczucia, mniej wyrzymałe od miłości ojcowskiej. W wielkiem rumowisku płątały się lata męskie wspólnie ze słabą starością, z sinego mroku nie wychylały się już święte godziny, te, które ongi oglądały narodziny czyjeś i zgon albo znaczyły pierwsze etapy niepowstrzymanej ruiny. W pogrzebanej pamięci nie rozbrzmiewało już tykanie starego zegara, czas i obłąkanie sypały popiół na popiele.

Rafaël odwrócił się od portu i skierował w stronę placu z oczyma zatopionemi jeszcze w błękitnym śnie, na którego roztoczy chwał się las drzewców, płótna, rozwite na wietrze i ostre dzioby, muskające topiele.

Nieco dalej, w miejscu gdzie linja ogrodu królewskiego wygina się, na przeciw pomnika Wiktora Emanuela, przechodnie ujrzeni go, jak nagle, z nieartykułowanym swoim krzykiem radości, rzucił się naprzód, i w mgnieniu oka znalazł się na ziemi. Pędzący powóz stanął raptownie, stangret ryczał:

— Sam rzucił się pod konie!

Tłok się zbił dokoła leżącego, wśród zamieszania rozległo się żalosne skomlenie Sciosciammocchi. A on leżał bez zmysłów na pokrzwawionym bruku, z wyrazem cichej słodyczy na obliczu, pośród tych wszystkich powystraszanym twarzy i u stóp pochylonej nad nim czarnowłosej pani, w której przed chwilą zdawało mu się, że poznaje Concettellę.

Złożono go ostrożnie na miękkich poduszkach pańskiego powozu i smutny orszak ruszył w stronę szpitala. Oddychał jeszcze, kiedy go umieszczono w łóżku, które przed paroma godzinami opuścił nieboszczyk. Siostra Rozalja musnęła skrzydłem kornetu

drobną, nieruchomą twarz, ginącą zupełnie wśród białych bandaży. W chwilę potem zbliżył się młody chirurg, który dziś właśnie był dyżurny w szpitalu.

— Numer ósmy, siostrze.

Zakonnica przytaknęła melancholijnym ruchem głowy, wielka kędzierzawa głowa lekarza, pochylała się badając chorego.

— Na odwach, *Caporal maggiore*

Zakonnica wstrząsnęła się. Lekarz, młody chłopak, który spadł tu z gór kalabryjskich, wspaniała w nieograniczonem zaparciu się przy łóżku chorych, miał swój właściwy żargon wojskowy, którego wyuczył się, służąc przez trzy lata w pułku jako prosty szeregowiec. Stosował teraz jego terminy do pacjentów, chcąc za pomocą tych bolesnych żartów ukryć wzruszenie, jakiego dotychczas nie potrafił przezwyciężyć. Siostra Rozalja, którą tkliwy olbrzym nazywał szorstko „starszym kapralem”, nie mogła ośwoić się ze strasznym wyrażeniem, zbyt często powracającym na usta lekarza: — odwach. Dążąc w ślad za doktorem, obchodzącym zwykłą koleją chorych, zakonnica czuła, jak odbiegają ją wszystkie siły na wspomnienie krwawego i przeraźliwego widoku, który uderzył kiedyś jej źrenice: wielkie kamienne pomieszczenie, a w niem okaleczone ciała, wystawione na najstrajniejsze katusze.

Lekarz zatrzymał się przy numerze dziewiątym.

— Cóż, mój chłopcze, czujemy się lepiej prawda? Jeszcze krztynkę cierpliwości, a przyjdzie pozwolenie na urlop. Ale półgłosem dodał, prawie że w samo ucho siostrze:—Prawdopodobnie trzeba będzie przywołać klasowego.

O dziewiątej, zbadawszy troskliwie śpiącego Rafaela, zwrócił uwagę „starszego kaprała”, że „popisowy wyciągnął niski numer”. O jedenastej, widząc, że chory ani myśli opuszczać zgromadzenia, nazwał go „ładownicą”. I obchodził dalej swoją koleją w towa-

rzystwie siostry Rozalji, która wysłuchiwała łagodnie jego wojskowego repertuaru w zastosowaniu do każdego pojedynczego pacjenta.

— Proszę sprowadzić mię, siostró, skoro tylko komukolwiek się pogorszy. Uważajcie na moich weteranów i na tego biednego rekruta. Numer ósmy powiedziałem, czy tak? Będę w każdej chwili na zawołanie.

Siostra uśmiechnęła się życzliwie. Wiedziała że kiedy on jest dyżurnym, na wydziale ciężko raniomych trzeba oczekiwać nie jednej niespodzianki.

Lekarz wyszedł, a siostra rozpoczęła zwykle nocne czuwanie. W ciszę ledwo rozwidnionej sali wdzierały się ciężkie oddechy zgorączkowanych, których stan pogorszał się z zapadnięciem wieczora. Niekiedy jakiś jęk wyrwał się ze zgnębionych piersi, jakieś świszczące westchnienia, tu i owdzie rżenie ciężkiego snu, nawiedzanego przez zmyry.

Wprawne ucho siostry chwyciło nawet oddech mniej chorych, którzy leżeli spokojnie. W ciągu nocy kilku gorączkujących poczęło bredzić; firanki, które siostra Rozalja zapuściła na nisze śpiących, aby cień ich uspokoił, zaczęły się poruszać od nieskoordynowanych ruchów majaczących. Zakonnica przylatywała natychmiast, poprawiała poduszki pod niespokojnymi głowami, kładła chłodne ręce na rozpalonych czołach, a pod ich dotknięciem spokój wracał cierpiącym. Kilku zażądało pić, inni gdy przechodziła, przyzywali jej, by choć przez chwilę czuć ją koło siebie, łagodną i opiekuńczą: a biały kornet poruszał się, pochylając nad każdym łóżem boleści, poczem oddalał się cichutko i zupełnie bezszelestnie.

Uspokoili się wreszcie wszyscy, jedni wyczerpani, inni zapadli w głębokie odrętwienie. W pierwszych godzinach nocy sen i cisza pokonywały cierpienia, a sala z dwoma rzędami równo rozstawionych łóżek w smudze bladego światła, jakie rzucały dwie blade

lampki nocne, wiszące na dwóch przeciwległych ścianach, wyglądała jak białe schronienie spoczynku i pokoju.

Siostra, utrudzona, zdrzemnęła się na chwilę na krześle koło drzwi.

Rafaël ocknął się. Zdawało mu się, że przespał czas długi jak wieczność, i że przychodzi teraz z daleka, niby z podróży, trwającej lata i lata, przez nieznanne światy. Nie było nikogo, coby go tu witał; powracał z oddali i nie zastawał żywej duszy przy powrocie. Potoczył wkoło zdumionemi oczyma, szukając drogich twarzy, zarysów znajomych sobie przedmiotów.

Wielkie, błyszczące źrenice, w twarzy, która robiła niemal wrażenie widma, pytały pół roku, przetrząsały ciemności. Ta biała droga, dochodząca do ściany, z której spływał snop drżącego światła, to nie była jego ukochana droga, obbramowana w ogrody i mury, ani też ów wolny gościniec, zawieszony wśród kwieścistych łąk nad lazurową tonią. Wydało mu się raczej, że to jest dom z mnóstwem białych pokojów, ale żaden mu nie przypominał jego kliteczki na poddaszu, ani niskiej kuchenki, ani łóżeczka Concettelli. I nie było jakoś widać jego dziecięciny, siedzącej zwykle przy oknie z poduszką koronkarską na kolanach.

Stary otwierał coraz szerzej oczy, wpatrzone uparcie w białe postacie, które podnosiły się w gorączce, w ponure widma, które majaczyły mu we wnękach nisz.

Dźwignął się usiadł na łóżku. W piersiach szarpnął go ostry ból. Podniósł dłonie do czoła i natrafił na supel bandaża. Wyprężony w cieniu wąty tułów zdrętwiał na chwilę w bezruchu — wyczekując. Wyteżone ucho chwyciło dokoła niby lekki i miarowy

powiew, który, podnosił się i opadał, jak dyszenie fal u brzegu. Ale to nie było morze. Chrapliwe sapanie tuż koło niego przerwało ciszę. Rafael wychylił się. W sąsiedniej niszy zaruszała się jakaś ludzka postać. Starzec, którego wzrok w tej chwili jarzył się jak wzrok jasnowidzącego—bystry i rozpalony gorączką—zbywszy zwykłej mgły nieprzytomności, czy pobłysków szaleństwa, zaczął uważnie badać tajemnicze miejsce. Rozróżnił pojedyncze wnęki, żelazne łóżka i nieruchome profile leżących, na końcu środkowego przejścia, pod lampą, krucyfiks, a z boku, u drzwi, ciemną postać, z twarzą ukrytą w cieniu białych skrzydeł.

Nie czuł już w tej chwili bólu w piersiach i na czole, oparł się plecami o głowy łóżka, i w takiej pozycji było mu bardzo wygodnie. Wydawało mu się, że ma głowę przedziwnie lekką, odpadł gdzieś ciężar rażonych uwiadem członków.

Jest więc na drodze do ozdrowienia — myślał spokojnie — i wyjdzie niebawem z tego szpitala, do którego nie wiedział nic, ani kiedy, ani dlaczego się dostał. Musiało to być w czasie owego przeraźliwego bólu w mózgu. Teraz przypomina sobie, że śnił mu się kiedyś wielki pożar na niebie, rozżarzone grotty, które wwierały mu się do oczu, przeszywając czaszkę. A wieńcem czaiły się potworne przywidzenia. Dreszcz nim wstrząsnął na wspomnienie: co za okrucieństwo ten sen!

Rozpalona droga, oślepiające nieubłagane słońce, białe błyskawice w oczach i wielkie płamy, które kołowały po wszystkim, w uszach trzask iskier i zgrzytliwe głosy, głosy szydercze, śmiechy, naigrawania, przepowiednie... „Concettella zdradzona, zrozpaczona, umarła, z twojej winy, z twojej winy, z twojej winy”...

Dobrze że go obudzili, to było straszne i mógł umrzeć z bólu w takim śnie.

Umierający zamknął oczy, cały zdyszany, chcąc

wyrwać się drapieżnym obrazom, które wynurzyły naraz z letargu zapomnienia.

Chrapliwy jęk powtórzył się w ciszy. Rafael wyprostował się, stłumił strach, który chwycił go za gardło i otworzył przemocą oczy, wyteżając je w mdlejącem półświetle.

Po raz trzeci chory koło niego zajęczał boleśnie. Rafael zsunął się cichutko z łóżka, i przytrzymując się firanek, wywłócił się ze swojej niszy. Człowiek leżący w numerze dziewiątym widział jak zbliża się ku niemu jakieś niezwykle zjawisko, całe drżące w długiej szpitalnej koszuli, z twarzą jak mara, ścisniętą w bandażu.

— Boli was? — zaszeptał starzec.

Chory nie odpowiadał, uniósł się na łokciu i patrzył weń uważnie, ściągawszy brwi w wysiłku, by go sobie przypomnieć. Kiedyż to on widział tę śmieszna chudą twarzyczkę, z której wyglądały oczy, takie nie śmiałe i takie słodkie zarazem? Widział tyle twarzy w swoim zawodzie ale ta mu szczególnie utkwiła w pamięci, bo była śmieszna i pocziwa, bo uśmiechała się tak słodko, bo nakoniec...

Aha, — przypomniał sobie — — —

Spotkanie, miało miejsce w urzędzie policyjnym w ratuszu, w wieczór zapustny. Ubawily się niemało, opowiadając nazajutrz innym policjantom o waleczności genuieńczyka, a pisarz-żartowniś przez długi czas śmieszył wszystkich opowieścią o Rigoleczie, który miał trzy mądre psy i piękną córkę, ale mieszkał w Torre del Grecco. Trochę zdaleko, żeby pójść zobaczyć. Chory uśmiechnął się z wysiłkiem do tych wspomnień z lepszych czasów i szepnął wyciągając rękę ku stojącemu:

— Oh, Rigoletto!

Stary zadygotał cały i nachylił się żeby lepiej słyszeć. Kto wymówił to zapomniane imię, tu, okok niego?

— Dźgnęli mię, ci niegodziwcy, wiecie, Rigoletto? — jęknął chory, opadając na poduszki, wyczerpany i podnosząc ręce do piersi.

Cicha skarga wdarła się znów w ciszę, a z nią zlał się szloch, głęboki jak rzeźenie. Biały cień zniknął, chwiejny bardziej, i zawlókł z powrotem, czepiając się firanek. Skupiwszy całą przedśmiertną energię, Rafael zaszywał się w las, jak ścigany zwierz.

Gdy znalazł się w łóżku, zlodowaciały, skulony, zlany już śmiertelnym potem, chwycił go nagły wir, zapadał gdzieś, zniknął, rozplywał się w nicłość. Ale nadludzka mocą otworzył jeszcze raz oczy. Chciał widzieć, chciał przypomnieć. Wszystko było prawdą, i pozatem nic nie było prawdą, wszystko było kłamstwem i tylko drapieżne zmyślenia nie były kłamstwem.

W przerażającym jasnovidzeniu umierających, w kilka chwil, które wydają się jak całe życie, starzec przejrzał, zrozumiał, odgadnął.

Osiemnaście lat bolesnego jego ojcowstwa przesunęło się przed jego wzrokiem, a każdy rok niósł dreszcz, i tęsknotę. Stały przed nim posępne postacie jego tragedji i wszystkię rzuciły szyderstwa, pogardę, lub groźby, wynurzały się drogie sercu istoty, ale i one także zostawiały go w żalu, smutku, opuszczeniu. Uwielbiona szła z twarzą zalaną łzami, wyciągając ramiona.

Dokoła począł się opętany płas szatańskich widm. Odrywały się od latarni, tańczących we mgle, śmiały w błyszczących oczkach pisarza, zrywały się tłumione na ochrypty głos pijaka, ścigały się, poszturgiwały, migotały tysiącem szyderczych iskierek, poruszając rytmicznie rękami i nogami. Wypływała z ohydnych koła opasła, tłusta i dobroduszna twarz kumy, oczy tonące w fałdach tłuszczu śmiały się przebiegłe, tak jak oczy pisarza. I inne oczy jeszcze mrugały drwiąc,

inne postacie wynurzały się z mroku w opętany tańiec i wir. Byli wszyscy: piękny panicz, Carluccio, kum Łukasz, a wszyscy krążyli obłędnie w tańcu pożogi, która rozświetlala ciemności; płomienie ich lizały, cała droga płonęła jak stos, a okrutne widma śmiały się, urągając, wyciągały pięści ruchem zlorzeczenia i wybuchały śmiechem, trzeszczącym jak iskry... Byli wszyscy, i Rusinella przyszła z nimi, ale patrzyła z wyrazem gniewu i pojardy, który mówił mu wyraźnie:—Ty ją zgubiłeś, ty, ty!— A wtedy wieniec widm krążyć począł szybciej jeszcze, i każde po drodze rzuciło mu urągliwe słowo, śmiały się wszystkie, śmiała się najgłośniej gruba kuma, i lichwiarz wykrzywił twarz z naigrywaniem nad nim, nad niešťczęśliwym ojcem, który nie rozumiał, jak mu gubiono dziecko.—Ale teraz patrz, zrozum — wszystko, mówiły szydercze twarze, a nędzne, chude ciała drzało pod ich spojrzeniem. Pożar szedł na niego, coraz bliższy i groźniejszy, następował z szumem płomieni i sykiem zlorzeczeń. Rafael chciałby uciekać, lecz nie miał sił, przyrósł do miejsca. Chciałby zamknąć, zacisnąć oczy, ale nie może nie patrzeć, źrenice jego otwierają się coraz szerzej, coraz szerzej...

Nagle dziki, przeraźliwy wrzask, rozdzierający ryk ranionego zwierzęcia. Wstrząśniona ze snu siostra Rozalja przyfrunęła bezszereśtnie. Jakiś głos skarżył się przelekniony:—Wszyscy tu umierają koło mnie.

Po białej sali przewiał mroźny podmuch. Z cienia wynurzył się chirurg, usunął zakonnicę, schylił łwią głowę, by zbadać:

— Ach, ale *Caporalmaggiore*...

Głos zamarł mu na ustach.

Siostra Rozalja spojrzęła. Źrenice starca zdawały się przetrzymywać ostatnie widzenie—otchłań przerażenia, jaka otworzyła się przed nim, i w którą runął z wyciem, co jeszcze nie było przekleństwem...

— Zamknijcie mu oczy—szepnął młody lekarz.
Powieki nie chciały opaść na zrozpaczone źrenice. Wtedy siostra Rozalja podniosła drżącą rękę
uczyniła znak krzyża nad umarłym.

K O N I E C



~~62790~~

65121